Rok II. Nr. 7. Kraków, 1. kwietnia 1920 r. Cena egz. 3·50 K. (mr. 2·50)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 20·— (mrk. 14·—), półrocznie K. 38·— (mrk. 27·—), rocznie K. 75·— (mrk. 53·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści“: Kraków, Karmelicka 16.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści“ przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.

Pokój z bolszewikami.



(do tekstu na str. 2-ej).

K. T. LOGANO.

Zmartwychwstanie.

(Legenda tatrzańska).

W noc z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną żaden góral nie wspina się na szczyty Tatr. Komuż to w głowie onej nocy uroczystej, kiedy cały lud spieszy do kościółka wiejskiego na Rezurekcyę?

Aliści raz góral pewien zabłąkał się wśród skał podniebnych jeszcze w Wielki Czwartek, przez trzy dni i trzy noce naprożno szukał drogi, ślizgając się po śniegach i lodach.

W tem słyszy z dala strzały. W pierwszej chwili przeraził się głuchym hukiem wśród ciemności, otaczających go dokoła. Wkrótce jednak zrozumiał, że to odgłosy, pochodzące ze wsi, gdzie podczas Rezurekcyi strzelano z moździerzy.

Kiedy go wreszcie doleciał dźwięk dzwonów, zasmucił się góral mocno. Tam, we wsi rodzina jego śpiewa wesołe „Alleluja“ i gotuje się do świąt, niespokojna z powodu zbyt długiej nieobecności ojca w domu, podczas gdy on wycieńczony, zaczyna już wątpić o prawdopodobieństwie ocalenia i powrotu swego.

Lęk straszny przejął zrozpaczonego górala. Zrazu przeklinał godzinę, w której przyszła mu myśl dzika wyruszania z domu o tej porze i wałęsania się po skałach; potem w trwodze zamarły mu na ustach przekleństwa; przeżegnał się, ale nie mógł odmówić modlitwy. Dziesięć razy zaczynał „Ojcze nasz“ i mylił się za każdym razem. Nie szło mu. Drżał na całem ciele z zimna, głodu, znużenia i strachu. Dokoła nie widział nic, krom białych całunów śniegu, wszystko zasłaniających. Zakręciło mu się w głowie, zachwiał się, ręką szarpnął kawał sterczącej skały, pod którą stanął, trzymając się jej z całej siły, mimo, że była lodem śliskim obłożona. Zawisł niemal nad urwiskiem.

Oczyma trwogi śmiertelnej widział upiory straszniejsze od tych wszystkich, o których słyszał od dziecka. To znowu zdawało mu się, że z góry i z dołu idą i lecą całe stada dzikich bestyi drapieżnych ku niemu i już, już rozszarpać i pożreć chcą biednego górala.

Raz jeszcze przeżegnał się. Próbował modlić się do św. Antoniego w tej myśli, iż ten patron oświeci go może i wskaże nieszczęśliwemu drogę. Lecz i tym razem nie szło mu z modlitwą. Góral rozpaczał.

Nagle o skały niebotyczne odbił się znowu huk wystrzału moździerzowego; poczem dzwony zaczęły grać po górach nieskończonem echem. Szły dźwięki od wioski z kościelnej dzwonicy i płynęły po lodach ku szczytom; jako struny arfy, uderzały o skały poszarpane i grały wzniosłą pieśń „Alleluja“...

Tak, doleciała muzyka dzwonów do biednego, nad przepaścią wiszącego w rozpaczy okrojnej górala i echem dziwnem odbiła się o skałę, która w tejże chwili zadrżała. I usłyszał góral najwyraźniej, że dźwiękom dzwonów odpowiedziała skała śpiewem.

Tak, to w łonie góry, w głębi skały, głosy liczne, nawpół ludzkie, nawpół nieziemskie, śpiewają chórem pieśń „Alleluja!“....

Słucha... Śpiew nie milknie... Góral słyszy słowa pieśni i powtarza je omdlewającym głosem. A Tatry całe wtorują niewidzialnym śpiewakom cudną muzyką dzwonów z wiejskiego kośiółka.

Nagle śpiew ustał. Skała zadrżała znowu i w oczach górala otwarła się szeroko, niecąc dokoła blask wielki, pośród nocy, zalegającej góry. Olśnił go widok, jaki się przed nim rozłożył. Ujrzał mnogie hufce rycerzy, z husarskiemi u ramion tarczami, w zbroi błyszczącej, z szablicami w ręku, a w hełmach ogromnych na głowie. Jeden w drugiego olbrzymy. Na ich czele stał niby król, niby wódz, w zbroi, w płaszczu szerokim i długim. Wszyscy z czcią wielką słuchali kazania, wpatrzeni jako w tęczę, w zakonnika kapelana, co wyglądał jak święty i jak żołnierz. Bo też mówił z serca i do serca.

Słucha i góral kazania i takie na koniec słyszy słowa:

„A kiedy w Polsce nastanie Wielka Noc, powoła nas do Krakowa wawelski dzwon. I społem zejdziemy z gór. Górale pójdą z nami wraz. A z góralami ruszą Krakowiacy. I z równin mazurskich pójdą chłopy. Zbudzi się z nami Polska cała i w oną Wielką Noc zmartwychwstania!“

Ksiądz skończył, rycerze chórem zaśpiewali znowu „Alleluja“. Równocześnie zabrzmiały znowu dzwony z górskiego kościoła, a tym razem tak silnie, że aż góral oderwał oczy do śpiewających rycerzy, a spojrzał w stronę, skąd płynęły dźwięki, powtarzane przez turnie echem tysiąckrotnem. Blask wielki, który bił od skały otwartej, oświetlał przestrzeń daleko. Góral z radością poznał w tej stronie swoją wioskę. Od teraz już zna drogę. Tak, tak, to tam zejdzie w dół na halę i już będzie, jak w domu.

Odwrócił się z powrotem ku skale, lecz ta, w tejże chwili zawarła się w jego oczach. Zniknęły hufce zbrojne, a ogarnęły go znowu cienie nocy. Jeszcze tylko przez chwilę płynęła z wnętrza skały pieśń Zmartwychwstania, poczem zapanowała cisza. Posnęli snać zaklęci w skale rycerze.

Cicho i ciemno było jak przedtem, lecz góral już nie rozpaczał. Spokojny zsunął się powoli i ostrożnie ze skały, a odnalazłszy swą drogę, dostał się nad ranem szczęśliwie do swojej wsi. Opowiezdział gromadzie, co widział, i słyszał w noc Rezurekcyi, ale już nigdy nie mógł odszukać wśród szczytów tatrzańskich tajemniczej skały śpiących rycerzy, od której drugi rok, w nocy z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną, niesie echo po górach polskich pieśń „Alleluja“ i urocze słowa: **„Zmartwychwstała“...**

Pokój z bolszewikami.

(Do ilustracji tytułowej).

Więc pokój mamy za pasem
Pomimo intryg i knowań.
Wybrano miasto Borysów
Na miejsce wstępnych rokowań.

Ponieważ w owem miasteczku
Z kamienic niema ni znaku,
Jak Pat nam doniósł w dziennikach
Zawrzemy pokój w baraku.

W samym wyborze lokalu
Odczuwam świetną ironię,
Bo przecież chłopa w kożuchu
Nikt nie przyjmuje w salonie.

Nie wiemy jaki się zjawi
Ze strony Rosyi luminarz.
Ze strony Polski pojedzie
Aptekarz i weterynarz.

Przeciw ostatniej osobie
Podnoszą różne zarzuty
Lecz mi się zdaje, że wybór
Został tu dobrze wyczuty.

Do paktów z bolszewikami
Jest to osoba najlepsza,
Bo zna ze wszystkich najlepiej
Organizm świni i wieprza.

Nemo.

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

13 (Dalszy ciąg).

Szybko zbiegła kobieta z balkonu na przyjęcie nieoczekiwanych gości.

— Dzień dobry! — zawołała Daisy Parrington z najpiękniejszym swym uśmiechem — wszak pani pozwoli nam odpocząć tutaj choćby na stopniach werandy, dopóki nasz głupi szofer nie naprawi samochodu. Będzie to trwało najmniej pół godziny, a tam tak gorąco w pełnem słońcu.

Oczywiście gospodyni poprosiła uprzejmie niespodzianych gości, aby raczyli zająć miejsca na werandzie, gdzie „o tej porze dnia jest daleko przyjemniej, niż we wnętrzu domu“.

Obie panie skorzystały skwapliwie z zaproszenia i zasiadły w ogrodowych koszykowych fotelach, podczas gdy towarzyszący im mężczyzna zajął miejsce na stopniach werandy. Nie brał on żadnego udziału w grzecznej rozmowie, jaka zawiązała się pomiędzy gospodynią domu i przybyłemi kobietami. Po chwili wstał i rzekł matowym, przeciągłym głosem:

— Zobaczę, co ten dureń szofer tam robi... Zdaje mi się, że on się wrale nie spieszy... Muszę go dopilnować...

— Nie uśnij tylko przypadkiem, braciszku — zawołała Daisy i obracając się do pani domu, dodała:

— Ależ myśmy się dotychczas pani nie przedstawili... Nazywam się Daisy Parrington, a to moja kuzynka Irma Snadley...

— Nazwiska pań są mi znane — brzmiała uprzejma odpowiedź.

— Co za uroczy letnisko ma pani tutaj — ciągnęła dalej Daisy, — tak, tak wiem — to willa tego nieszczęśliwego Shipmana...

— Wynajęłam ten dom dla mojego chorego syna, ale niestety w czasie podróży na południe tak mu się pogorszyło, że potrwa jeszcze jakiś czas — zanim lekarze pozwolą mu tutaj przyjechać...

— Oł doprawdy?... Cóż za zmartwienie!

Pani Tomson, bo tak się zwała gospodyni domu, westchnęła ciężko.

— Ach! ten biedny Shipman — trzepała dalej żywo młoda kobieta — zachwycałam się obrazami jego syna, to był niezwykle utalentowany malarz... Interesowało mnie też zawsze bardzo to, co mówiono o willi, którą dla niego buduje ojciec... Naprzykład to atelier wspaniałe!... Opisywano je tak dokładnie we wszystkich dziennikach. Gdybym tak... — spojrzała na panią Tomson wzrokiem prawie błagalnym.

— Gdyby co?... — zapytała tamta, uśmiechając się zdawkowo.

— Myślałam... miałabym taką ochotę... gdyby to nie było zbyt natrętne... Ach! pani Tomson, gdyby wolno było obejrzeć to atelier...

Gospodyni wstała szybko, jak gdyby chcąc uczynić zadość życzeniu gościa, zatrzymała się jednak nagle i klasnęła w dłonie.

— Że też ja zapominam zawsze o tem, że to nieszczęsne atelier jest zamknięte i gwoździami zabite!... Niestety!... nie mogę spełnić pani życzenia, bo przyrzekłam tych drzwi nie tykać!... Jeżeli pani jednak chce zobaczyć widok tam z góry, to poprowadzę panie... Henryku! — zawołała kogoś w głębi domu — Henryku! odsuń te skrzynie i kufry na strychu!... Chcę paniom pokazać widok...

Daisy i Irma skwapliwie podążyły za panią Tomson po szerokich schodach, potem przez sień, z której wydostały się znowu na schody wązkie i kręte.

— Widzą panie, to są podwójne drzwi — powiedziała pani Tomson, zniżając głos. — Ale jak mocno zabite!... Wyglądają tak, jak gdyby ich żadna moc ludzka otworzyć nie mogła... Oto jest widok! — nieprawdaż że uroczy?

Posypały się okrzyki podziwu i zachwytu... Skoro się już nacieszono pięknym krajobrazem, miano odejść, gdy w tem pani Parrington oparła się o zabite deskami drzw i rękę przycisnęła.

— Ach! znowu ten zawrót głowy... — szepnęła Irma do pani Tomson — lekarze powiadają, że to coś mózgowego... Zostawmy ją na chwilę w spokoju... Przejdzie jej zaraz...

Istotnie po chwili pani Daisy oświadczyła, że zawrót głowy minął, że czuje się zupełnie dobrze. Panie zeszły z powrotem na werandę, a gdy zajęły znowu miejsca, gospodyni zaczęła się skarżyć na niemiłe sąsiedztwo pobliskiego sanatoryum.

Służba opowiada o tym zakładzie straszne rzeczy — westchnęła pani Tomson — mają tam podobno jakiegoś niezwykle niebezpiecznego szaleńca, który od czasu do czasu ucieka... Kiedy to się stanie, kierownictwo sanatoryum ostrzega mieszkańców okolicznych błękitną chorągwią, wywieszoną na wieży... Wszyscy się wtedy chowają po domach, starając się o ile możności jak najmniej wychodzić... Opowiadają także — ale nie wem, czy to wogóle jest możliwe — o uprowadzonych dzieciach i innych osobach, które tam się trzyma w zamknięciu. Istotnie trochę to zastanawia, jak pilnie jest to sanatoryum strzeżone i dla obcych zupełnie niedostępne...

Potok słów wymownej damy, został przerwany przez rozgłośne: „hallo“ mężczyzny w płaszczu automobilowym który przyszedł oznajmić, że można jechać dalej.

— Pani wybaczyć raczy... — rzekł, zwracając się do pani Tonson z głębokim ukłonem, przyczem położył przed nią młotek i małe obcęgi — posłałem szofera do stajni, aby poprosił o narzędzia, a ponieważ nikogo tam nie było, więc pozwolił sobie pożyczyć te rzeczy, które zwracam z serdecznem podziękowaniem...

— Do stajni?! — pani Tomson zbladła nagle, w oczach jej mignęło przerażenie, opanowała się wszakże i zaśmiała się przymuszonym nieco śmiechem.

— Tak, do stajni... Więc znalazł to, czego mu było potrzeba... Bardzo się cieszę... bardzo...

W drodze powrotnej Tom Traddleton był bardzo milczący, podczas, gdy towarzyszki jego rozmawiały żywo o osławionem „sanatoryum“.

Nagle zapytał:

— Czy panie sądzicie, iż ta dama istotnie tak badzo się boi tego furjata?

— Tak sądzę — odparła pani Daisy — robi wrażenie osoby wielce nerwowej i trwożliwej... O ho! kto to jedzie konno! Ależ to Harry Loudes!... Tak, tak! bezwątpienia to on!... Harry! Harry! dokądże to Bóg prowadzi?

Jeździec uchylił kapelusza.

Dzień dobry państwu!... Jadę z obowiązkową wizytą do pewnej znajomej mojej, która niedawno przybyła ze stołecznego południa! Bardzo sympatyczna kobieta!... Pomogłem jej wyszukać letnie mieszkanie. Ale darujcie, państwo, nie mogę zatrzymywać się dłużej, mój koń nie chce czekać... niecierpliwi się... nie znosi zapachu benzyny... Dowidzenia!

— Chce odwiedzić panią Tomson — oświadczyła Irma Smedley, takim tonem, jakby dokonała jakiegoś doniosłego odkrycia.

— Rzeczywiście! ma ten zamiar! — potwierdził Tom.

ROZDZIAŁ XV.

List do dozorcy z więzienia.

Następnego poranka Tom Traddleton siedział po śniadaniu przy swojem biurku, gdy otwarły się drzwi wszedł Jirwing Fair, który wręczył mu pisemny raport.

— Jednej tylko rzeczy tam nie zanotowałem — rzekł — bo sądziłem, że łatwiej i szybciej będzie to opowiedzieć?...

— Cóż takiego?

— Dzisiaj rano woziłem pannę Alicyę i starszą pannę Irwing automobilem na spacer... Kiedyśmy na rogu Broadway musieli zatrzymać się przez chwilę — przypadkowo tuż koło skrzynki pocztowej — młoda pani wyskoczyła nagle na chodnik i wrzuciła list do skrzynki. „Pisałam do Molly Hartwell“ powiedziała do ciotki, kiedy wsiadła znowu do auta. Ciotka zdzi-

wiła się: „Ależ dziecko jużeś tak dawno nie wspominała o Molly. Myślałam, że przyjaźń zerwana! Na to panna Alicya: „Przeciwnie, ona pragnie, abym ją odwiedziła“. Starsza dama przestraszyła się — przecież ty nie odjedziesz teraz! to niemożliwe“ — zawołała.

— Dalej! — wykrzyknął Traddleton.

Jimmy uśmiechnął się z zadowoleniem i ciągnął dalej.

— „O, teraz! jeszcze nie, ciociu“— powiedziała panienka. — „Zobaczymy, co później będzie“. Oto wszystko, co mam do powiedzenia, panie Traddleton. Speszy mi się bardzo. Czy mogę odejść?

Traddleton skinął głową i zajął się rozpatrywaniem przedłużonego mu pisemnego raportu, wkrótce jednak wypuścił go z ręki i ujął słuchawkę telefonu.

— Hallo! Nr. 1009... Aha! to pani... Dzień dobry!... Proszę pani, czy mogłaby pani udzielić mi informacyi o niejakiej Molly Hartwell w Chicago?... Tak?.. Zaraz teraz? Doskonale. Czekam.

Po kilku minutach dał się słyszeć w telefonie głos:

— Mieszka w Chicago. Ma tutaj w Nowym Jorku ciotkę niejaką panią Wreden. Przyjeżdża zwykle na karnawał. Dawniej przyjaźniła się z Alicyą Irwing. Ostatni raz była tutaj w ubiegłym roku we wrześniu. Dowidzenia! Tom!... Zajrzyj pan do mnie, proszę! Chcę z tobą o czemś pomówić! Dowidzenia!

Zaledwie Traddleton znowu czytać zaczął, zapukano do drzwi i wszedł Percy Briddger.

(C. d. n.)

* * *

Z tajemnic życia pozagrobowego.

POKUTUJĄCE DUSZE. — TAJEMNICZA RĘKA. — PORTRET OJCA.

Od jednego z naszych czytelników p. Z. otrzymujemy opis następujących faktów:

„Szanowna Redakcyo!

W jednym z numerów poczytnego czasopisma, była postawiona kwestya spirytystyczna i żądaniem podania znanych wypadków.

Otóż mogę WPanu służyć paru wypadkami z mego życia:

1. Jako uczeń gimnazyum w Nowym Sączu mieszkałem we wsi Młynne o 4. mile odległej od N. Sącza. Matka moja dla oszczędności odsyłała mnie swemi końmi do dworu w M., tam u wuja nocowałem, a o świcie z kuzynami odjeżdżałem do szkoły.

W M. był pokój narożny, jedyny z okratowanemi oknami, w którym mieszkał kuzyn Teodor G., ówczesny ekspedytor pocztowy w Limanowej. Wuj mój a stryj Teodora irytował się, że tenże zawsze dopiero po 11-tej wieczór do domu wracał. Otóż gdy mi wypadł w M. nocleg sypiałem w jego pokoju. Wówczas mało były lampy w użyciu, przeważnie świece łojówki (około 1865 r.) Z takiem światłem udawałem się do przeznaczonego pokoju. Położyłem się do łóżka i zgasiłem świecę, a była może 10 godz. wieczór, gdy śród ciszy usłyszałem coś niby oddech śpiącego lub westchnienie. Zawołałem przypuszczając, żem zdrzemnął, Teodor, tyś już przyszedł? — a gdy odpowiedzi nie było zaświeciłem łojówkę i poszedłem zajrzeć do drugiego łóżka, ale nikogo nie było, westchnienia jednak z innego rogu mnie dochodziły. Nie tracąc odwagi chodziłem z kąta w kąt, odsuwałem łóżka, otwierałem szafy i kufry, westchnienia ciągle było słychać w innem miejscu, tak szukałem do 11-tej wieczór, tj. do nadejścia Teodora, który mi wytłómaczył, że te westchnienia słychać co dnia między 9 a 11 wieczór i że on dlatego wcześniej do domu nie przychodzi, bo mu to nieprzyjemnem. Jakoż rzeczywiście od 11-tej więcej westchnień słychać nie było. I niejeden raz później miałem sposobność je słyszeć. W końcu doszła wiadomość o tem po latach kilku do dziekana ks. W., który na intencyę duszy pokutującej dobrowolnie nabożeństwo odprawił, i od tego czasu westchnienia ustały.

2. Było to mniej więcej w r. 1867, tj. po prusko-austryackiej wojnie. Bawił w domu mej matki kuzyn Michał B., który po powstaniu wstąpił do pułku Krakusów hr. Starzeńskiego, a gdy po Sadowie i Koeniggraetzu nastąpił pokój, pułk strzelców został rozwiązany, a ochotnicy (Królewiacy powstańcy) znaleźli gościnne przyjęcie po domach obywatelskich. Otóż był to dzień św. Bartłomieja, dzień odpustu w Ł. majętności mych kuzynów, i na ten dzień starszy mój brat i dwie siostry pojechali do nich. W domu pozostała moja matka, wielce nabożna osoba (lecz nie dewotka) dwie siostry, ja i p. Michał. Że w tym roku cholera grasowała, matka i my czworo w jednym z pokoi odprawialiśmy nabożeństwo wspólne o odwrócenie groźnej klęski. Śpiewaliśmy właśnie „Święty Boże“, gdy nagle z dachu wysunęła się ogromna ręka, czarno-czerwona goła, tak, że przedramię widać było i sięgła do szyby, trzykrotnie drasnęła paznokciami i znikła. Wybiegliśmy na pole. p. Michał poszedł na strych, lecz nikogo i niczego nie znaleźliśmy (było to w sierpniu około 6 po poł.). Gdy siostry na drugi dzień powróciły, opowiadały, że kuzyn Stanisław, służący przy pułku Nać (Kozie nóżki) jako manipul. feldwebel w Krakowie, z powodu braku w kasie, zastrzelił się, właśnie o tym czasie, a lubił on bardzo jednę z sióstr moich.

3. Po śmierci matki mej otrzymałem między innemi portret śp. ojca mego i ten wisiał u mnie na ścianie. Miałem parę osób na kolacyi i siedzieliśmy przy stole, gdy nagle w drugim pokoju łoskot spadającego przedmiotu usłyszeliśmy. Pobiegłem tam i zastałem portret na ziemi. Gwóźdź tkwił w ścianie mocno, wiszadło u portretu nie uszkodzone jak mógł obraz spaść? Wszyscy zauważyli, że to jakiś znak, ja zaś powiedziałem tak z przypuszczenia: Pewnie brat mój sprzedał majątek M. I rzeczywiście tego dnia i godziny spisany był kontrakt sprzedaży.

Tyle z mego własnego doświadczenia.

Opowiem jeszcze wydarzenie, które mi jako dziecku opowiadano:

Jest wieś Szyk w pow. Limanowskim. ta należało do śp. dziadka mego Wojciecha. Był on skąpy, bo nawet synowi swemu, a ojcu memu, tylko za procentem pożyczał pieniędzy. Umarł tam proboszcz, a po nim przyszedł nowy, rzecz zwykła. Nowy proboszcz usypiając zobaczył swego poprzednika przy łożu stojącego. Spytał go co sobie życzy. Nieboszczyk rzekł: „Powiedz Wojciechowi niech da na Mszę św. za duszę moją“ i znikł. — Nowy proboszcz zapomniał. Na drugi dzień znów ta sama wizyta. Nowy ksiądz odprawił swoim kosztem nabożeństwo. nie pomogło, nieboszczyk znów przyszedł i mówi: Czemuś nie powiedział Wojciechowi? — Na to nowy proboszcz powiada: Wiem że on jest skąpy, nie uwierzy. To ci znak zostawię, mówi nieboszczyk. — Dobrze, zostaw tam na stole w 1. pokoju. — Po chwili słychać było trzask, jakby kto kijem w stół uderzył. I co się pokazało? Oto nieboszczyk ręką uderzył w stół dębowy i wypalił na nim dłoń z palcami na pół centymetra głęboką, ale tak, że żaden rzeźbiarzby nie był w stanie wyrzeźbić. Dziad dał na Mszę i odtąd był spokój— a rękę długie lata można było widzieć.

Czy stół ten istnieje jeszcze? tego nie wiem.

Przemysław Żuławski.

W dziewiczych krajach Afryki.

13 (Dalszy ciąg).

Roślina prawie nie potrzebuje żadnego starania. Daje korzeń dosyć gruby, zawierający dużo mączki, która albo się je surowo, albo wypieka na placki. Korzeń zawiera sok mleczny, bardzo jadowity, który wydziela się przez przemywanie i suszenie. Pojąć więc łatwo, że Gobbiemu chodziło wielce o odpowiednią hodowlę i przygotowanie tego materyału pokarmowego. To też kilkanaście morgów lasu kazał ogrodzić trzciną i ciernistymi krzakami; dwa, albo trzy morgi wykarczono pod uprawę manioku, reszta lasu służyła za park do przechadzki.

W tym tedy parku Barthet i Guillois pomieszczeni zostali. Pozostawionym przez kilka godzin na wielkim placu Matta-Zamby, gwoli zadowolenia ciekawości publicznej, dano następnie do zrozumienia, że jeżeli pochwyceni zostaną na najmniejszym zamiarze ucieczki, zostaną natychmiast poświęceni na ołtarzu Maramby.

Wśród nieuprawnej części ogrodu, pod cieniem lian kwitnących, znajdowała się niewielka chatka z liści; do niej to dwaj przyjaciele, upadający ze znużenia, dowlekli się, wspierając się wzajemnie i nie będąc w stanie wymówić słowa, upadli na stos suchych liści, na których po raz pierwszy od dwóch przeszło tygodni mogli się oddać pokrzepiającemu spoczynkowi.

XII.

Życie więźniów. — Ogród Gobbiego. — Geografia botaniczna. — Projekt ucieczki. — Szczególne odwiedziny. — Momtu-Sambu.

Nazajutrz, obudziwszy się, znaleźli na progu swej chaty mąkę maniokową, przyprawioną pieprzem czerwonym na misce drewnianej, porcyę bananów i olbrzymią tykwę, pełną wody.

Był to podarunek monarchy, który przy śniadaniu przypomnieć sobie raczył, że biali nic wczoraj nie jedli. Po raz pierwszy od chwili swej niewoli przyjaciele mogli swobodnie porozmawiać z sobą. Po pierwszem tedy wzruszeniu zaczęli spokojniej zastanawiać się nad położeniem swojem i porozumiewać co do dalszego postępowania.

— Wyrwać się stąd za jakąbądź cenę, oto cel, do którego nieustannie dążyć powinniśmy, nie cofając się przed żadną przeszkodą — rzekł Barthet de Guillois, kończąc rozmowę.

— Masz słuszność — odrzekł ostatni — wiele jednak rzeczy potrzeba koniecznie do wykonania projektów naszych. Przedewszystkiem wypada znać doskonale położenie geograficzne miejscowości, w której jesteśmy, oznaczyć punkt wybrzeża, do którego udać się mamy, znać drogi utorowane już przez karawany, lub murzynów wędrownych, wreszcie mieć broń dla obrony.

— Jeżeli mamy wtedy dopiero ruszyć z miejsca, kiedy wszystkie te kwestye należycie rozwiązane zostaną, to bardzo prawdopodobnie pomrzemy tu, czyszcząc czaszki, broń i fajki Gobbiego.

— Wszelako byłoby nierozważnie...

— Oto odpowiedź moja na twoje kwestye — mówił dalej oficer. — Położenie kraju?... Od Rio das Mortes szliśmy ciągle na północny wschód, a rzeką, do której doszliśmy, była Congo, przynajmnej jeden z jej dopływów górnych. Kierunek nasz stały następnie ku wschodowi musiał nas przywieść w pobliże źródeł tej rzeki tajemniczej, która wybiega może z tego samego źródła, z tej samej góry, czy jeziora, co i Nil w przeciwnym kierunku. W takim razie bylibyśmy mniej więcej pod 5 stopniem szerokości południowej i między 24 a 27 stopniem długości, bądź blizko jeziora Kuffua, bądź blizko jeziora Tanganika, a może między obydwoma*). Co się tyczy punktu, do którego udać się powinniśmy... zdaje mi się, że ani go naprzód oznaczyć nie możemy, ani ściśle wytykać drogi, bo jedna tylko rzecz obchodzić nas powinna, a mianowicie: dostanie się do brzegu jakimbądź sposobem. Nie mając zaś kierunku do wyboru, jedynym sposobem niezbłądzenia jest trzymanie się biegu Congo. Ach, gdybyśmy mogli mieć przewodnika!

— A broń?

— Co do broni, musimy poprzestać na tem, co znajdziemy najlepszego wśród rupieci, jakie Gobbi oddał nam pod naszą opiekę. Myślę zresztą, że o jakie sto mil stąd, czyli o dwadzieścia pięć dni drogi najwyżej, spotkamy plemiona łagodne i gościnne, wśród których życie nasze, czy wolność, nie będą narażone.

— Kochany Barthecie! w jaki sposób możesz wiedzieć to wszystko?

— Przez całe życie zajmowałem się gorliwie, a nawet z istną namiętnością, geografią i etnografią. Znajomość kuli ziemskiej i zamieszkujących ją plemion wydawała m się najważniejszą ze wszystkich nauk.

— I nie myliłeś się wcale, bo te wiadomości nabyte może dziś jedynie ocalić nas zdołają. Pod tym niestety względem ja nie przydam się na nic, bo głównie zajmowałem się historyą naturalną. Jedną rzecz, którą robić mogę, kiedy będziemy w drodze, jest oznaczanie szerokości przy pomocy geografii botanicznej.

— A to w jaki sposób? — zapytał Barthet zdziwiony.

— W bardzo prosty — odpowiedział Guillois, zapominając o trudach i niebezpiecznem swem położeniu wobec wspomnień z ulubionych sobie nauk. — Obecnie znanych jest przeszło sto tysięcy gatunków roślin. Ale używając dowcipnego porównania Hoefera, żądać od botanika, aby znał na pamięć cechy każdego z tych gatunków, byłoby również potwornem, jak żądać od jenerała dowodzącego stoma tysiącami żołnierzy, ażeby pamiętał nazwiska i fizyognomię każdego. Wszelako użytek rośliny, jej rozdział na kuli ziemskiej, oto, co przedewszystkiem naukę obchodzić powinno i to właśnie stanowi zadanie wymienionej przeze mnie geografii botanicznej. W tym razie, podobnie jak w geografii fizycznej, można przypuszczać dwie granice ostateczne: bieguny i równik.

„Bieguny przedstawiają zero roślinności. Przeciwnie równik — największe bogactwo i rozwój jej najwyższy. Między biegunami a równikiem istnieją stopnie pośrednie.

„W okolicach podbiegunowych rozdział roślin jest tak prawidłowy, jak na nizinach pod równikiem. Czemu przypisać to zjawisko? Oczywiście niewielkim zmianom temperatury. W klimatach europejskich cała przyroda żyjąca ulega przeciwnie wielkim podobnym różnicom, które kolejno wystawiają ją raz na wpływ znacznego zimna, drugi raz znacznego gorąca i które podobnie, jak ruchy wahadła dochodzą często do 20 stopni niżej i wyżej niż średnia temperatura miesiąca lub roku. Co innego jest pod zwrotnikami i w okolicach podbiegunowych.

„Tam oscylacye podobne są żadne prawie w porównaniu z oscylacyami klimatów europejskich: rzadko przenoszą one 3 do 4 stopni w porównaniu z przeciętną temperaturą miesiąca. Linie równociepła gruntowego odpowiadają prawie średniej temperaturze powietrza.

„Tym sposobem grunt i atmosfera, czyli dwa główne warunki bytu jestestw żyjących, posiadają prawie stale jednakową ilość ciepła.

„W krajach, leżących między kołami biegunowemi a zwrotnikami; scena się zmienia: tu temperatura powietrza i gruntu jest tak zmienną, jak i gatunki roślinne. W pasie umiarkowanym właśnie wzrastają rośliny najrozmaitszego pochodzenia, a kultura ich zależną jest bądź od temperatury zimowej, bądź od letniej.

„Ponieważ wody oceanów na pewnej głębokości mają prawie stałą temperaturę, to też flora morska daleko mniejszą przedstawia rozmaitość gatunkową, niż ziemska. Wodorosty wyłącznie prawie stanowią roślinność morską. Ale na lądzie, czy w morzu, olbrzymy państwa roślinnego żyją głównie w pasie zwrotnikowym i równikowym. Tak w okolicy wysp Kanaryjskich istnieje gatunek wodorostu „fucus vitifolius“, opisany przez Humboldta, którego korzenie w głębie morza sięgają na 64 metry. „Fucus pyryferus“ w wodach Ameryki i Afryki południowej dochodzi do stu metrów

długości. „Sargassum vulgare" i „Sargassum bacciferum" rozwijają się na przestrzeni około czterech mil kwadratowych między przylądkiem Zielonym a wyspami Azorskiemi, tak, że przestrzeń ta „morzem sargassowem" przez żeglarzy nazwaną została.

„Pas równikowy, kochany Barthecie, obejmujący mianowicie okolice, przez które przechodzić mamy, rozciąga się między 0 a 15 stopniem szerokości północnej i południowej; średnia temperatura jego wynosi od 20 do 23 stopni. Pas ten odznacza się dziewiczymi lasami, pokrytymi ogromnemi lianami i roślinami pasożytnemi, przedstawiającemi nieskończoną rozmaitość pod względem barwy, kształtu i woni.

„Roślinność zmienia się odpowiednio do wysokości, tworząc ośm piątr, czyli pasów, leżących jeden na drugim: 1) Pas, czyli kraina palm i bananów, wznosi się do sześciuset metrów nad poziomem oceanu. 2) Pas paproci i drzew figowych, leży między sześciomaset a tysiąc dwustu pięćdziesięcioma metrami wzniesienia mniej więcej. 3) Pas roślin mirtowych i wawrzynowych. 4) Pas lasów wiecznie zielonych, między 1900 a 2500 metrami. 5) Pas lasów o liściach peryodycznie opadających, między 2500 a 3200 metrami. 6) Pas drzew iglastych: sosny, jodły, świerku, między 3200 a 3500 metrami. 1) Kraina krzewów alpejskich, między 3500 a 4200 metrami. Nakoniec 8) Kraina ziół alpejskich, między 4200 i 5100 metrami.

Rzecz szczególna i bardzo znacząca, że wszystkie te gatunki roślinne, żyjące w taki sposób na stopniowych wywyższeniach a zupełnie od siebie odmienne, poczynając od podstawy szczytu gór równikowych i zwrotnikowych, w tym samym porządku rozłożone są na globie. Postępując od równika ku biegunom, napotyka się kolejno krainę palm i bananów, paproci i drzew figowych, mirty i wawrzyny, lasy wiecznie zielone, drzewa o liściach peryodycznie opadających, iglaste, wreszcie alpejskie krzewy i zioła. Oto, kochany przyjacielu, na jakich zasadach opiera się geografia botaniczna. Co za przepyszne studya moglibyśmy tu robić, gdybyśmy nie musieli myśleć przedewszystkiem o naszem ocaleniu?

— I to jak najrychlej, bo kto nam zaręczyć może, czy pierwszego lepszego dnia, w którym Gobbi przesadzi swoją porcyę rumu, nie przyjdzie mu ochota poświęcić nas na ołtarzu Maramby?

— W samej tylko tej zagrodzie — mówił dalej Guillois — patrz, co za bogactwo drzew najrozmaitszych! Oto pieprzowiec etyopski, tamarynd włochaty, drzewo masłowe, anoma senegalska, krocień tłuszczowy Afzeliusa, zwany jeszcze drzewem łojowem, mangrowa, „sterculia acuminata", której owoce mają być zbawienne w chorobach wątroby, baobab Adansona, banany rozmaitych gatunków, palma olejna gwinejska i dwadzieścia przynajmniej gatunków pandanu... A zioła?... Co za wspaniały zielnik mógłbym z ich ułożyć! Pojmujesz tedy, jak z roślin o szerokości geograficznej wnioskować można?

— W istocie, geografia jest nauką uniwersalną — odrzekł Barthet, któremu ostatecznie udzielił się zapał towarzysza. — Nie może się ona zajmować ziemią bez zwrócenia uwagi na rośliny i zwierzęta, które na niej żyją; tak przynajmniej pojmowaną być winna. Bieguny i równik w faunie też samą mogą grać rolę, co i w geografii botanicznej; łatwą więc rzeczą będzie uporządkować gatunki według szerokości geograficznych. Weźmy naprzykład człowieka. Wszędzie pod równikiem jest on czarny, a przynajmniej bronzowy; w miarę posuwania się ku biegunom, barwy te jaśnieją. Poza trzydziestym piątym stopniem niema już murzynów, ale barwa równikowa trwa jeszcze we włosach, które wogóle pozostają czarnymi do pięćdziesiątego stopnia, od którego przeważnie występują blond włosy. Chcieć w nauce oddzielić ziemię od tworów, które z niej i na niej żyją... kreślić ich historyę bez względu na historyę ziemi, bez uwagi na sposób ich pożywienia, na którym się rozwiająją, na skład powietrza, którem oddychają pod równikiem czy biegunami i na klimat, który znoszą, nie byłoby to bynajmniej tworzyć nauki racyonalnej. Świat nasz jest całością jednolitą niesłychanie, a życia szczególnych na nim osobników nie można badać niezależnie od życia ogólnego. Zanim się dojdzie do psychologii człowieka naprzykład, czy nie wypadałoby, jak sądzisz, rozpocząć od psychologii rośliny?

— Zapewne; w cudownej przyrodzie naszej niema nic odrębnego i niezależnego.

— W cudownej... istotnie. Patrz, jesteśmy tu bezbronni, w rękach głupiego i dzikiego barbarzyńcy, oddaleni od wszystkiego, co kochamy, bez wielkiej nadziei pokonania przeszkód, dzielących nas od wolności; życie nasze zależy od kieliszka tafii. I oto, dosyć było jednego słonecznego promienia wśród tej pysznej roślinność podrówikowej, ażeby zmienić kierunek naszych myśli, odpędzić smutek, natchnąć marzeniami i umożliwić rozmowę, jak gdybyśmy byli zwykłymi podróżnikami, obozującymi wśród majestatycznych lasów Afryki południowej.

— Wróćmy do smutnego naszego położenia. Zgadzam się z tobą, co do konieczności rychłej ucieczki.

— Jeżeli cali stąd wyjdziemy, kapitan Noel, przysięgam, z tej ręki odniesie karę za swoje zbrodnie.

— Sądzisz więc, że powinniśmy iść wzdłuż koryta Congo?

— To jedynie możliwa droga.

— A czy nie przypuszczasz, że jeśli gonić nas będą, spostrzegłszy ucieczkę naszą, to w tym właśnie kierunku szukać nas zechcą?

— Niewątpliwie... Czarni, wysłani w tropy nasze, nie zmylą drogi.

— A wtedy?

— Jest to jedyna szansa... Zresztą żywymi wziąć się nie damy, bo z tem wszystkiem śmierć lepsza, niż ta niewola nieznośna, w której codziennie niepewni będziemy, czy ujrzymy jeszcze zachodzące słońce.

— Kiedy spróbujemy tej awantury?

— Jak można najprędzej. Za pół roku, czy dziś, będziemy w tem samem położeniu.

— Czy nie myślisz jednak, że zwłócząc czas jakiś, uda się nam może przekupić murzyna, który służyłby nam za przewodnika, albo, że potrafimy porobić znajomości u plemion sąsiednich?

— W obydwu razach podarków trzeba... a my nic nie mamy. Nie zapominaj, że mieszkaniec Matta-Zamby, któryby zgodził się być przewodnikiem naszym w ucieczce, byłby przez Gobbiego poświęcony fetyszom, wróciwszy napowrót.

— Nie, im dłużej czekać będziemy, tem...

Nagle wielkie okrzyki przerwały słowa Bartheta, a zdawały się one pochodzić z głównego placu, na który wychodził front pałacu królewskiego.

Dwaj przyjaciele z pewną trwogą nadstawiali ucha i wśród hałasu i wycia tłumu, które z każdą chwilą wzrastać się zdawały, usłyszeli wyraźnie dwa nieznane wyrazy: „Momtu-Sambu!" wydawane przez wszystkie piersi z tysiącem najrozmaitszych intonacyi. Przybliżywszy się szybko do płotu z lian i bambusów, otaczającego ich więzienie, spoglądali przez sploty gałęzi, by zbadać powód tej wrzawy ogólnej.

— Brakłoby tylko tego, żeby motłoch głów naszych zażądał — rzekł Barthet ze smutnym uśmiechem.

Jakież było ich zdziwienie, kiedy w pośrodku pięciuset, czy sześciuset wrzeszczących murzynów wszelkiej płci i wieku spostrzegli człowieka dobrego wzrostu, z karabinem niedbale na ramię zarzuconym, którzy trzymając olbrzymiego brytana na sznurze, szybkim krokiem zmierzał ku mieszkaniu Gobbiego!

Omylić się było niepodobna, jeśli nie co do narodowości, to co do rasy jego... Był to człowiek biały...

Przesunął się jak senne widziadło przed zdumionemi oczami biednych więźniów i wszedł do sovasa.

(C. d. n.).

Za kulisami zamachu Kappa.

Kto go przygotował i kto nim kierował.

Nadeszły do Krakowa pierwsze gazety berlińskie, które wyszły w stolicy Pruso-Niemiec po przywróceniu normalnych stosunków w dniu 24-tym marca.

„Berliner Tagblatt“ przynosi zajmujące informacye, w jaki sposób przygotowano zamach wojskowy na dzień 13 marca.

Reżyserem porucznik von Borries.

Zamach wojskoyy w dniu 13 marca przygotowywał sztab dywizyi żelaznej i magnaci bałtyccy.

Jednym z głównych wykonawców jest porucznik von Borries, synowiec generała. Liczy on 28 lat. Oficerem został podczas wojny. Po ogłoszeniu republiki w Niemczech udał się do Kurlandyi. Tam się dostał do sztabu Dywizyi Żelaznej. Równocześnie zawiązał stosunki z magnatami bałtyckimi. Zwłaszcza z jednym, niesłychanie bogatym, tym, który w styczniu 1918 roku ofiarowywał królowi pruskiemu koronę Kurlandzką.

Ten to magnat ofiarował na cele kontrrewolucyi monarchicznej w Niemczech znaczne środki pieniężne. Gdy wojska niemieckie na jesień 1919 roku musiały opuścić kraje nadbałtyckie, ów magnat razem z niemi udał się do Berlina.

Pozorna mobilizacya wojsk bałtyckich.

Wojska, które powróciły z krajów bałtyckich, zdemobilizowano tylko pozornie. Żołnierzy poumieszczano na kwaterze u rozmaitych właścicieli ziemskich w północnych Niemczech, przeważnie na Pomorzu. Zatrzymali oni broń i amunicyę. Fundusze pochodziły częścowo z kieszeni konserwatystów rosyjskich.

Zwróciło też za krótkiego panowania Kappa w Berlinie uwagę, że monarchiści rosyjscy, przebywający tamże, zajęli wobec kontrrewolucyi i jej filarów niesłychanie przyjazne stanowisko.

Pomocnicy von Borriesa.

Razem z Borriesem, który rozmieszczał żołnierzy po wsiach i zbierał oraz rozdzielał pieniądze, pracował razem major Bischof i kapitan Papst.

Pierwszy z nich zawiązał stosunki z ministeryum Obony Rzeszy. Ostatecznie w jego rękach zbiegały się wszystkie nici całego ruchu.

Brygada marynarki Ehrhardta.

W styczniu 1920 r. wciągnięto do spisku Ehrhardta, który dowodził brygadą marynarki. Nakłoniono go do tego, że rozpuścił do domu bardzo dużo marynarzy i na ich miejsce przyjął do szeregów żołnierzy zdemobilizowanych bałtyckich.

Zaczęto też do owej brygady przyjmować żołnierzy rosyjskich. Tych przecież ukrywano przed okiem publiczności berlińskiej.

Kiedy się miał zamach odbyć?

Do zamachu miało przyjść dopiero w czerwcu roku bieżącego.

Skutkiem niedyskrecyi przecież wyszły na jaw dokumenta, tyczące się zamachu, a złożone u pułkownika Bauera, prawej ręki generała Ludendorffa podczas wojny. Ten materyał otrzymał Noske.

Minister Noske przejrzawszy dokumenta, wezwał najbardziej obciążonego generała von Luettwitza do siebie.

Wywiązała się zacięta sprzeczka. Generał dopuścił się ciężkiej niesubordynacyi. Noske dał mu dymisyę. Luettwitz cynicznie odparł, że minister nie ma do tego prawa.

Zaraz potem odjechał do obozu do Doeberitz i tam polecił przyspieszyć zamach.

Na czele 6.000 żołnierza pomaszerował do Berlina.

Klub pułku Rossbacha.

Na ulicy Hohenzollern stała pod Nrem 22 willa, którą przed dwoma miesiącami wynajął porucznik Rossbach, także oficer wojsk niemiecko-bałtyckich, komendant własnego pułku Rossbach w Bałtyckiem.

We willi urządził pozornie klub karciany. Miał zarządzających, buchalterów, kelnerów w liczbie przeszło trzydziestu. Naprawdę byli to oficerowie jego pułku.

Miał dużo pieniędzy, urządzał wieczorki karciane i przyjęcia. Naprawdę były to narady spiskowców.

W dzień, gdy Kapp dokonał swego zamachu, klub się zmienił na fortecę.

Wywieszono sztandar pruski na dachu, a w oknach widniały karabiny maszynowe. Cały personal przywdział mundury oficerskie i hełmy szturmowe.

Ostatniego dnia schronił się do willi i major Bischoff.

Dnia 18 marca pułk Rossbacha wymaszerował z Berlina wraz z innemi wojskami bałtyckiemi.

Willę sprzedano pośpiesznie poselstwu greckiemu.

*

Wszystkie te infomacye tworzą nadzwyczajnie ciężkie oskarżenie przeciwko militaryzmowi pruskiemu.

* * *

*

Nawrócony pijak.

Poszedł sobie Maciej rano na pniaki do lasu, by opału przysposobić za lepszego czasu: wziął się do tęgiego pniaka. Wnet okpał ziemię, a siekierą poobcinał co grubsze korzenie — trzeba jeszcze lagą podważyć — powiedział sobie — lecz tak się mu zdaje, że już osłabł, że do tego siły mu nie staje. Lecz nie darmo przyniósł z sobą pół kwarty gorzałki!

— Jak się spiję — mówi sobie — potnę go w kawałki.

Więc wyjmuje wódkę z flaszką i tak sobie prawi:

— Wypiję, będę mocniejszy! Daj mi Boże zdowie!

Więc przechylił flaszkę mocno, wypił już połowę, odetchnął i mówi sobie:

— Już mam lżejszą głowę! E! trza wypić do ostatka, co tam będę dzielił!

Jak powiedział, tak i zrobił, zaraz się ośmielił.

— Teraz jużem całkiem mocny: wódka zdrowiem darzy!

Zaraz bierze lagę, zakłada pod pniaka i waży. Wtem laga trzasła, złamała się, gruch Macieja w ciemię! On się zachwiał i jak długi zwalił się na ziemię...

Leży sobie i tak krzyczy:

— O święci Anieli! Co ja widzę, mego pniaka kaci w górę wzięli?! Jakim mocny, — tak wszytkie wywalę! Tylko co mnie tu tak trzyma na ziemi — zuchwale?... O la Boga! jak mię też to głowa w czole boli! Ha! trzeba wstać!

Tu się usza, gramoli powoli... Wstać nie może, bo się potłukł, jak bela opity, — więc został leżeć, usnął, a spał, jak zabity!

Obudził się, słońce zaszło, wieczór się już zrobił, usiadł sobie, rozejrzał się.

— A com ja tu robił — mówi. — Aha, wiem, to kopałem pniaki. Co ja widzę: wszystkie w ziemi te pniaki, łajdaki, a ja leżę. — Lecz co znaczy na głowie ta góra?... O mój Boże, jak mnie też to mocno boli skóra! A niech wszyscy czarci wezmą bestyę gorzałkę! Tom się opił, nic nie zrobił i rozbiłem pałkę! Już jej więcej pił nie będę, niech ją wezmą kaci!!! Toż to człowiek przez nią zdrowie i majątek traci.

Tak powiedział, pozbierał się i poszedł do domu, a o brzydkiej przygodzie nie mówił nikomu. I porządnym był człowiekiem już od tego czasu, chociaż więcej nie chciał chodzić na pniaki do lasu...

Czy kobieta pracująca zawodowo traci szanse małżeńskie.

„Chcemy same sobie wybierać mężów!“

Jedno z londyńskich pism, spowodowane skargami matek, które przypisują „niezawisłości“ swych córek ich staropanieństwo, ogłosiło ankietę w sprawie tego aktualnego problemu: Tysiące młodych dziewcząt wciągnęła wojna w wir pracy zawodowej, czyniąc je przez to zupełnie samodzielnemi. „Pasek“, na którym matki wodziły swe córeczki rozluźnił się mocno. Na ankietę odpowiedziały wyłącznie kobiety, które w przeważnej części zaprzeczają energicznie, jakoby zawodowa praca miała zmniejszać jej szanse małżeńskie. „Niektórzy mężczyźni wolą typ panienki „z domu“ — pisze pewna arystokratka—z czego jednak nie wynika wcale, aby nie miała być równa, albo nawet większa ilość mężczyzn, którym się podoba kobieta samodzielna. Nie rozumiem, dlaczegoby mężczyzna nie mógł się z równem powodzeniem ożenić się z dzielną, zawodową pielęgniarką, jak z panną, która umie tylko grać dobrze w tennis. Kiedy przed kilkudziesięciu laty kobiety zaczęły studyować, to słyszało się to samo: „dziewczęta! nie latajcie na wykłady, bo zostaniecie staremi pannami! Tymczasem praktyka pokazuje, że i studentki znajdowały i znajdują mężów. Rola matki jako „pośredniczki“ w sprawach małżeńskich należy już do rzeczy przestarzałych.

„Matki! nie troszczcie się o nas! — woła pewna młoda dziewczyna, pracująca zawodowo — i nie śpiewajcie każdemu kandydatowi na męża pochwalnych hymnów na cześć naszą, bo te zalety, które w nas sławicie, są właśnie dla współczesnych mężczyzn najmniej atrakcyjnemi! Pozwólcie nam samym siebie reprezentować. Jeżeliśmy się nauczyły zarabiać na własne utrzymanie, to i męża sobie same znajdziemy! Młoda dziewczyna przez pracę zawodową nie traci nic ze swego uroku, raczej zyskuje, ponieważ mężczyzna zdobywa większą pewność bezinteresownej miłości.

Wszystkie prawie odpowiedzi na ankietę podkreślają, że współczesna młoda dziewczyna nieuznaje „mamy“, jako swatki, ale sama chce decydować o swym losie.

Co ma robić kobieta aby być piękna.

Niema kobiety, którаby nie myślała o tem, aby się wszystkim podobać, aby odbierać hołdy od mężczyzn, aby być piękną.

Wybitna artystka włoska Cavantieri podaje szereg rad, — które bezwątpienia mogą się przyczynić do zakonserwowania kobiecie piękności, o ile naturalnie kobieta jest w stanie trzymać się ściśle poleceń pani Cavantieri, o ile ma na to pieniądze i czas. To, co p. Cavantieri poleca jako środek przeciw starzeniu się, jest niesłychanie proste.

Przedewszystkiem kobieta, która chce być piękną i zostać nią długo, nie może jeść dużo. Potrawy mączne i tłuste wywołują otyłość, — mięso wywołuje wyrzuty, a u kobiety otyłej nos się świeci. Ciastka i słodycze niszczą szkliwo zębów, a u kobiety ząbki to... — Owoce wywierają zgubny wpływ na świeżość cery, taksamo, jak ryby. Dalej, kobieta nie powinna nigdy płakać, łzy bowiem torują łożyska dla zmarszczek, pomijając już to, że zacierają puder. Kobiety mogą więc gniewać się i złościć, — wbrew przysłowiu, że: „złość piękności szkodzi“... — ale nie powinny nigdy płakać. Nie powinny też za długo przebywać na powietrzu. Słońce w lecie niszczy cerę, a w zimie mróz może fatalnie wpłynąć na piękny nosek...

Kobieta, która chce zostać piękną, powinna się trzymać prócz tego następujących przepisów:

Na noc powinna zakładać na nos maskę, ażeby nie stracił formy. Policzki mają być obłożone dwoma cienkimi plasterkami cielęciny. Całe ciało powinno być wysmarowane specyalnemi pomadami. Rano zaś, dwugodzinny masaż, potem nieco gimnastyki, dwa lub trzy razy podnoszenie rąk i nóg, dwa lub trzy razy wyciąganie nóg.

Wszystkie te rady mogą być bardzo skuteczne, tylko nie każda panienka może sobie pozwolić na stosowanie się do nich.

K. T. LOGANO.

Co pech, to pech!...

(Nowela świąteczna).

Szarzało; wieczór zapanował.

Długie, szerokie ulice miasta kipiały życiem. Wzdłuż chodników snuły się całe masy ludzkie, zalewając jak woda zaułki, place i placyki. Wciskały się do sieni domów, do sklepów, bud i sklepików i przed oszklonemi ich witrynami famowały prawdziwe zapory.

Goniono się, prześcigano, sprzedawano, targowano się w jakiemś zawrotnem tempie, łowiąc każdą chwilę dnia, konającego na zachodzie, bo oto zbliżało się święto, w którem zmartwychwstał Bóg.

I oni także szli we troje.

Pierwszy szedł pan w nowiutkiej, angielskiej zarzutce, w błyszczącym na głowie cylindrze, w skrzypiących na nogach lakierkach, nieco mrukliwy, ale zadowolony. Sięgał do kieszeni, nie bez pewnej rozwagi i pocierał przytem koniuszek swego nosa palcami rąk w nieskazitelnej świeżości rękawiczkach.

Tuż przy nim dreptała pani (jego połowica) — szczupłe, wydłużone dłonie wsunęła w puszyste wnętrze olbrzymiej, potwornie ogoniastej mufki, rozglądając się na wszystkie strony wzrokiem niepewnym, zakłopotanym.

— A może tu, a może tam? A może to, a może owo? — szczebiotała.

On wlókł się za nimi trzeci.

Kolana pód nim drżały zlekka.

Zgiął się w kabłąk pod ciężkiem brzemieniem pełnego zakupów kosza, zgrabiałymi rękami podtrzymywał twarde pod brodą postronki, brudnym rękawem ocierał kroplisty pot z czoła, sapał astmatycznie, a za każdym jego krokiem, z resztek powiązanych szpagatami butów, wyglądały na świat boży zwyrodniałe, rozdeptane, znieczulone pięty.

Od sklepu do sklepu szli.

Pani szczebiotała po drodze, jak ptaszek:

— Dziubuś, potrzebuję migdałów do mazurków...

Pan pocierał nos z niejakiem zastanowieniem i pomrukiwał, jak kot, głaskany po grzbiecie.

— Dobrze duszko, jak tylko potrzebujesz... Hm... prawda, prawda, te mazurki...

Wyciągnął z kieszeni woreczek, kupowali owe migdały, a on, ten trzeci, nadstawiał kosz.

— A zmieści się jeszcze?

— O, zmieści, panie...

Ruszali dalej, gdzie znajdowały się (wprawdzie drogie) rodzynki, niezbędne do tego ciasta i drożdże i tym podobne delikatesy, aby przyzwoicie wyglądało święcone.

Gwarzyli oni wesoło we dwoje: ten pierwszy i ta druga; on tylko, ten trzeci, nie mieszał się do rozmowy wcale.

Coraz mocniej do ziemi przygniatał go ów kosz pękaty, coraz to nieznośniej pod brodą rżnęło go twarde sznurczysko, coraz obficiej pot gradem skapywał mu z uznojonego czoła, lecz on nie skarżył się bynajmniej.

Jedynie coraz przezorniej stawiał zmęczone nogi, coraz częściej brudnym rękawem ocierał mokre skronie, milczał i marzył.

Rodzynki... migdały... mazurki... baby... baranek... rzeżucha... święcone...:

I on miał także rodzinę i on także

Początki budhaizmu.

Pisał N. Brojde.

Budhaizm religia, której hołduje trzecia część ludności i która ma więcej wyznawców niżli religia chrześcijańska, ma kolebkę swą w Indyach. Według podań powstała w następujący sposób:

Niedaleko Indyi rozciąga się kraj zwany Zakja, leżący u stóp góry Himalaju. W IV wieku przed nar. Chr. żył w tymże kraju bogaty, lecz skromny szlachcic Zudhodana ze swoją małżonką Mają.

Wkrótce po ślubie, zrodził się im syn, którego nazwali Zidhatta.

Matka zaraz po urodzeniu syna umarła. Zidhatta zaś wychował się u ojca i macochy, (która była jego ciotką) Nahapajapati. Będąc dorosłym chłopakiem kształcił się w rzemiośle rycerskim, które naonczas wielce ceniono, wkrótce ożenił się i został niedługo po weselu obdarzony synkiem, którego to nazwał Rahula.

Pewnego razu poszedł Zidhatta i po drodze zobaczył starca omdlałego i opuszczonego; potem zobaczył człowieka wijącego się na ziemi z powodu strasznych boleści; wreszcie zobaczył trupa człowieka, na nim zaś setki robaków. Te widoki wywarły żal nad dolą ludzką w jego duszy i otworzyły przed nim cierpienia życia ludzkiego. Postanowił więc Zidhatta żyć w samotności i szukać środków, by ludzką niedolę złagodzić, albo zupełnie usunąć.

Nazwał się Zakja Muni, czyli pustelnik ze Zakji.

Sześć lat żył Zidhatta nie widząc człowieka, umartwiał swe ciało, modlił się ciągle i rozmyśliwał.

Pewnego razu, gdy siedział pod figowem drzewem błysnęło w jego umyśle światło prawdy, zyskał objawienie prawdziwej mądrości i nazwał się Budha czyli oświecony.

Po objawieniu się prawdy, udał się do lasu Benares, gdzie zaczął tubylcom rozpowszechniać swoją nową naukę. Zyskał sobie wielu wyznawców. Przekonaszy ich dostatecznie i pozyskawszy ich duszą i ciałem dla siebie, wysyłał ich do biednych i bogatych, szczęśliwych i nieszczęśliwych, ażeby oparci na kiju żebraczym głosili jego naukę. Ci wypełniali jego rozkazy i niebawem cały naród hołdował nauce Budhy.

Ogłosił Budha szereg kazań, między niemi: „Urodzenie jest cierpieniem; starość jest cierpieniem; żyć z tymi, których nie kochamy, jest cierpieniem; a rozłączyć się z kochanymi jest cierpieniem; nie osięgnąć tego, co pragniemy, jest cierpieniem; słowem wszystko, co życie człowieka wypełnia, jest wielorakiem cierpieniem!"

Budha głosił swa naukę 44 lat po wszystkich krajach Indyi, umarł w r. 480 przed nar. Chr. w Kuzinara.

Nauka jego, która dostała nazwę Budhaizmu, ciągle się rozszerzała i przetrwała wśród szerokich mas, aż do dzisiejszego dnia.

„Niezbędna" garderoba artystki.

Jedna z najbardziej znanych angielkich artystek wyjechała niedawno do Monte Carlo, by tam występować, a przytem próbować też szczęścia... w ruletce. Artystka, która jest w Londynie ze swych „extrawagancyi" nie mniej znana, jak z swej piękności i doskonałej gry, przybyła do Newhafen z trzydziestu wielkimi kuframi i niezliczoną ilością drobniejszych torebek i pakuneczków.

Na zapytanie zdumionego urzędnika cłowego, co właściwie z sobą wiezie, oświadczyła, iż w pakunkach owych mieszczą się jej „najniezbędniejsze" drobiazgi i garderoba. Po otwarciu kufrów okazało się, że artystka owa wzięła z sobą do Monte Carlo nie mniej jak 300 sukien i 120 najrozmaitszych kapeluszy. Ponieważ większość sukien i kapeluszy była zupełnie nową, chciano od niej pobrać cło, które naturalnie byłoby wyniosło wielkie sumy. Przypadkiem jednak wdała się w tę sprawę pewna wysoko postawiona osobistość francuska, która zapewniła, iż suknie i kapelusze były już raz noszone, wskutek czego przepuszczono już bez żadnych przeszkód artystkę wraz z jej 300 toaletami i 120 kapeluszami.

Jak jeden z angielskich dzienników zaznacza, miała artystka zamiar pozo-

---

miał dzieci i dla niego także miał zmartwychwstać niedługo Bóg...

On czekał na zmartwychwstanie od rana.

Podpasany powrozem, na ludnem miejscu i placu wyglądał, skąd błyśnie mu owo wielkie szczęście.

Chwycił kosz oburącz, byle mu się tylko wymknąć nie zdołał.

Pan przygląda mu się trwożnie:

— Ej, widzę człowieku, że to zadużo, więcej już nie poniesiecie.

On się jednak uśmiecha:

— Poniosę panie, wszystko poniosę.

— Ha, jak poniesiecie, to oto jedna jeszcze paczuszka. Dodam wam za to dziesieć koron.

— Panie Boże zapłać! Zmieści się i ta, zmieści!!

— A jeszcze indyczka weźmiecie — ale jak wy się z tem wszystkiem przewrócicie??...

— Nie przewrócę się, nie! Tragarzom to nie pierwszyzna!

— Bierzcie więc, kiedy chcecie. Dostaniecie czterdzieści koron!

— Niech tam paniusi Matka Boska!...

I już wracali prosto do domu.

Oni gwarzyli wesoło, oni we dwoje: pani i pan; on, wlokący się za nimi trzeci, nie gwarzył, bo nie miał z kim.

Na naprężonym rozpaczliwie karku żyły pęcznieją, jak powrozy, a on widzi tę ponurą, wilgotną izbę, w suterynie, z której bije radosny hymn:

Alleluja! Alleluja!!

Schody takie strome, ciemne, niewygodne. Stopnie zalano pomyjami, po których ślizgają się stopy, a jemu zdaje się, że to te 20 koron tak wyolbrzymiały i stanęły przed nim, jak góra. Na górę tę trzeba się wdrapywać, jak na Golgotę i ciężar nieść trzeba z wysiłkiem, ciężar wielki, nadmierny, niby krzyż.

Przed nim tańcują połyskujące lakiery i szpiczaste, jak igły obcasiki.

Wyżej, wyżej!... Jeszcze wyżej!...

A on się pnie, resztą desperackiego wysiłku, pnie się na ową niby Golgotę, na ten ostry, krwawy szczyt, na którym go czeka święto, gdy nagle...

Nagle zmęczony tragarz czuje, że z pod jego nóg usuwa się ziemia, że twardy sznur pod brodą kraje mu gardło jak nóż, że coś ponad nim huczy, trzeszczy, że coś się na niego toczy, wali... Dobywa resztek sił, chce się za coś uchwycić, lecz wielki kosz na plecach porywa go za sobą i ściąga niby piórko z trzeciego piętra na sam dół.

— Jezus, Marya! Jak to leciało, jak to wszystko leciało!

I rodzynki i migdały i drożdże i indyczka i rzeżucha i baranek i wiele, wiele innych świątecznych przynależności.

— Psiakrew! Żeby cię dyabli wzięli, stary niedołęgo!!...

. . . .

Oni zbierali to potem wszystko po kątach schodów sieni, a on siedział na ziemi, jak martwy, nieporuszony.

Z głęboko rozciętego czoła krew mu się sączyła obficie i zalewając oczy spływała po policzkach strumieniami, niby łzy.

Nic z ciepła, nic ze światła, nic ze świątecznego Alleluja! Wchłonęła je gęsta, nieprzejrzana ćma.

Izba pozostała ponura, wilgotna, pusta, ciemna, i zniej ku niemu wyciągały się także chude, drobne wynędzniałe rączyny.

— Jeść, tatusiu, jeść!...

Na miasto majestatycznie opadał wieczorny mrok. Zamykano spiesznie sklepy, ruch i gwar cichł. Milczący i smutny konał Bóg...

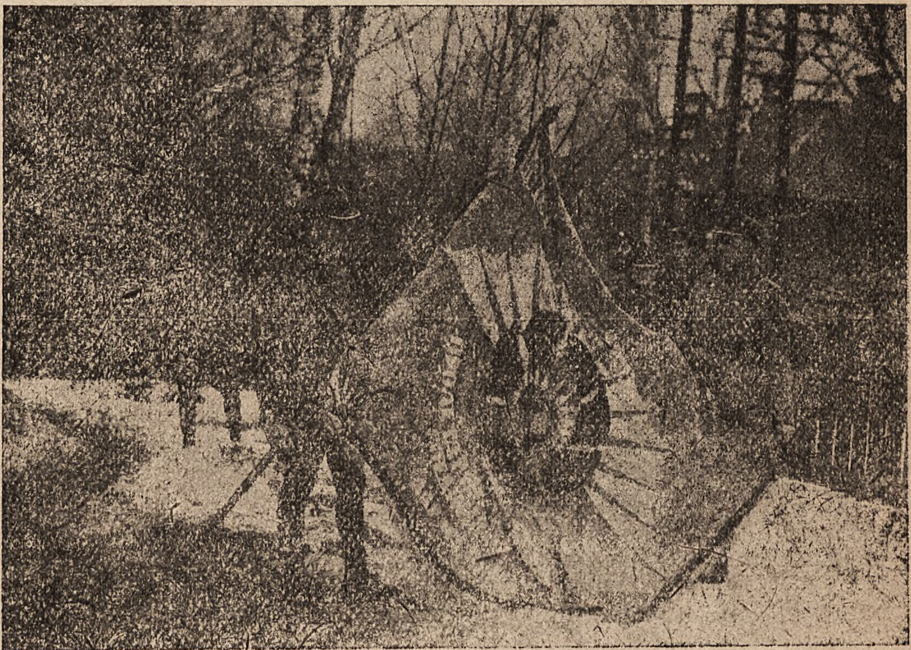
* * *

stać w Monte Carlo tylko jeden miesiąc. Jeżeli zatem zamierza wzięte z sobą suknie rzeczywiście nosić, będzie się musiała dziennie 10 razy przebierać. Ponieważ — jak wspomniano — oświadczyła, iż są to jej „najniezbędniejsze" rzeczy, będzie się zapewne musiała podjąć tej bynajmniej nie lekkiej pracy zmieniania w ciągu dnia sukien swoich... co godzinę!

Nowe doświadczenie z „duchami".

„Onija-Board". — Zawodowe Onija-medya. — Niebezpieczeństwo nowej zabawy. — Wykłady sir Lodge'a. — Rehabilitacya duchów.

Wielka katastrofa światowa, jaką ludzkość przeszła, pozostawiła za sobą wiele bólu i żałoby, tak, iż tęsknota za utraconymi i żądza otrzymania jakichkolwiek wieści o nich jest łatwo zrozumiała. W Europie myśli smutne zagłuszają tańce i huczne zabawy. — W Ameryce, gdzie w życiu towarzyskiem purytanizm i wstrzemięźliwość odgrywają ważną rolę, szukają ludzie innych środków pociechy. Stąd pochodzi ogromne rozpowszechnienie nowej zabawy towarzyskiej, która pod nową nazwą „Onija-Board", kryje dawno znane stoliki wirujące. Tylko co do zewnętrznej formy wprowadzono pewne zmiany, i tak, gdy dawniej stawiano stolik na ziemi, a na nim umieszczano deszczułkę na arkuszu papieru, na którym oznaczone były litery abecadła, to obecnie dzieje się odwrotnie. „Board" jest to dość wielka deska, na której wykreślone są litery abecadła, liczby od 0—9 i słowa: „yes" i „no". Na tę deskę stawia się mały stoliczek o trzech nogach. Obecni — najczęściej dwie osoby — kładą ręce na stoliczek i czekają spokojnie, zadawszy poprzednio jakieś pytanie. Stolik zaczyna się ruszać, jedna z nóg staje przed literą, lub przed słowem „tak", albo „nie". Jeśli dobrze idzie może w ten sposób stoliczek wysylabizować słowo, lub nawet całe zdanie. O wiele lepsze rezultaty osiąga się, jeżeli powoła się do pomocy zawodowe „Onija-medyum", które będąc rzekomo w zażyłych stosunkach z światem duchów, umie skłonić je do podania wieści i tłumaczyć tajemnicze znaki. Jakie rozpowszechnienie uzyskała ta nowa zabawa, o tem świadczy następująca uwaga w „New York Times": „Onija-Board" jest dziś tak potężną gałęzią przemysłu narodowego, że chyba tylko produkcya gumy do żucia w zębach mogłaby się z nią porównać. Obecnie jednak zaczyna ona być niebezpieczną, wytwarza bowiem nową formę podrażnienia nerwowego, które nazwać można „masowem waryactwem". Niektóre szkoły ostrzegają uczniów, ażeby nie poddawali się namiętności „Onija". Wogóle nastał w Ameryce czas rehabilitacyi duchów, o których Schoppenhauer wyraził, że „zostały wyklęte i wygnane przez przemądre stulecie". Świadczy o tem także ogromna frekwencya, jaką cieszą się wykłady sir Oliviera Lodge. Mówi on o „dowodach nieśmiertelności" o „rzeczywistości rzeczy niewidzialnych", o „dalszem trwaniu naszej egzystencyi" i t. p. tematach, które z naukami ścisłemi nie mają nic wspólnego. Prelegent musi każdy wykład powtarzać kilkakrotnie, albowiem nawet największa sala „Carnegie-Hall" nie pomieściłaby wszystkich słuchaczy.



Sztandar bolszewicki zdobyty przez żołnierzy grupy Sikorskiego.

Trzy pocałunki.

Życia poranek jasny! Dziecinnych lat chwila!
W duszy spokój i piosnka na ustach wesoła,
Wonie, kwiaty i blaski!... Szczęście dookoła!
Przy ramionach — tęczowe skrzydełka motyla!
Ileż szczęścia, rozkoszy, mieści świat ten Boży!
Lecz ponad niebo, blaski, nad słońce i kwiatki
Najwyższą i prawdziwą dziecku rozkosz tworzy
To pocałunek kochającej — matki!...

Młodzieńczych rojeń doba! Czas czynu i walki
O polocie Ikara śni skroń rozmarzona...
Życia wiosna rozkoszna, co na kształt Westalki
Święty żar prawdy, cnoty kryje w głębi łona!...
Miłości wschodzi zorza przeczysta, świetlana...
Młodzian kocha i zdaje się u szczęścia mety...
On gotów jest podźwignąć świat na kształt Tytana
Za pocałunek — kochanej kobiety.

Lecz świat do szczęścia kropli wlanej w życia czarę,
Łączy miliony bólów, łez, krwi i cierpienia!
Prysły już sny młodzieńcze i rojenia stare!
I w rozczarowań piekło raj dawny się zmienia.
I kiedyś świat rozbitych marzeń jego rojem
Serce, tak silne dawniej, rozrywa na ćwierci...
Ostatni pocałunek darzy go — spokojem —
To pocałunek śmierci!...

ST. D. (K. T. Logano).

Wiosenny pojedynek już się rozpoczął...

W tymsamym czasie, gdy Cziczerin wysyłał do Polski swe noty pokojowe, a Anglii słał alarmujące depesze o ofenzywie polskiej i o imperyaliźmie „polskiej oligarchii burżuazyjnej", z głębi Rosyi przewożono już od kilku miesięcy, oraz z nad zlikwidowanego już prawie w zupełności frontu Denikina, szły nowe dywizye bolszewickie na linię bojową zachodniego odcinka — przeciw Polsce.

Punkty węzłowe kolei rosyjskich roiły się od wojska, od transportów artyleryi, amunicyi i innego ekwipunku, który możliwie szybko podwożono na front.

Armia bolszewicka niemało skorzystała skutkiem rozbicia wojsk Denikina i ogromnych łupów, wśród walk zdobytych. W stanie zgoła nienaruszonym dostały się w ręce wojsk czerwonych nowe, angielskie tanki, szybkostrzelne armaty, opancerzone samochody, całe, świetnie uzbrojone pancerne pociągi.

Zdobycz na wszystkich frontach, na odcinku północnym Judenicza, na wschodzie bogate trofea, odziedziczone w spadku po armii Kołczaka, wszystko to wzmocniło dość znacznie pod względem technicznym armię Trockiego, kierowaną dziś przez sztab z byłych generałów carskich i wyższych oficerów niemieckich złożony. I oto w parę dni po nowej nocie Cziczerina do Polski, w chwili, gdy atmosfera w Europie stała się dziwnie duszna wskutek zamachu stanu reakcyi militarnej z pod znaku Ludendorffa i Kappa, a po niej dobijać się poczęła o ster rządów komunistyczna partya spartakusa niemieckiego, przeszły armie czerwone do generalnej ofenzywy na Polskę.

Jak to właściwie pierwsza na taką miarę zakrojona ofenzywa. Biorą w niej udział na odcinku poleskim, wołyńskim i podolskim trzy całe armie rosyjskie wspierane oczywiście ciągle podwożonym materyałem żołnierskim i stałą rezerwą.

Stajemy w obliczu wielkiego pojedynku dziejowego. Polska w zespole swych sojuszników na swych skrajnych skrzydłach, występuje do decydującej batalii z całą armią rosyjską, którą fachowcy angielscy i francuscy już dawno oceniali na cyfrę miliona bagnetów.

Nie jest to już stara, rewolucyjna, zdemoralizowana armia. Twarda dyscyplina, czerwonej dyktatury ujęła materyał żołnierski w karby, dała mu podoficerów wyszkolonych z byłej carskiej i niemieckiej armii, stworzyła sztab nowoczesny.

Zaopatrzyła wojsko w materyał wojenny pierwszorzędny, w amerykańskie pancerne pociągi, angielskie tanki, armaty i kulomioty.

Powróciły nawet dawne metody atakowania przy kilkugodzinnem przygotowaniu artyleryjskiem oraz przy poparciu ataków za pomocą tanków i pociągów pancernych.

Masowy szturm piechoty rosyjskiej w całych kolumnach na przyczółek mostowy Zwiahla miał w sobie wszystkie cechy ofenzywy przełomowej, zaś równoczesne silne ataki na odcinek poleski w kierunku Rzeczycy na Kalenkowicze, oraz próby przełamania fontu nad Słuczem i na Podolu pod Latyczewem i Nową Uszycą, gdzie dopiero w kontratakach bohaterski nasz żołnierz odzyskiwał z powrotem pozycye, świadczą, że ofenzywa bolszewicka zakrojona jest na wielkie rozmiary, atakuje na olbrzymiej przestrzeni od Podola aż po Polesie i linią Berezyny pod Bobrujskiem, i ma na celu przez przełamanie polskiego frontu na linii Zwiahla i Mozyrza, maszerować naprzód w kierunku Płoskirwó—Zasław—Równe, ku Galicyi Wschodniej.

Tu jednak napotyka armia czerwona na świetną, bohaterską postawę naszego młodego żołnierza. Pod wodzą dzielnego obrońcy Galicyi Wschodniej, generała Iwaszkiewicza, dowódcy frontu podolskiego, wszystkie oddziały wojska polskiego wspaniale stawiają czoło naporowi wrażej armii bolszewików. W defenzywie pełnej silnych kontrataków, a męskiej postawie w obliczu huraganowego ognia ciężkiej artyleryi nieprzyjaciela, zdaje nasz żołnierz świetnie egzamin swej dobrej szkoły i cnót żołnierskich.

Jeśli wróg czerwony liczył na to, pod naporem jego ofenzywy pęknie łańcuch obrony Polski, tak, jak rwały się linie obronne Denikinów i Kołczaków, to się omylił. Tu staje niezłomny w woli swej i świadomy celu, uświadomiony narodowo i do ofiary dla ojczyzny z życia własnego w pełni gotów — żołnierz Rzeczypospolitej, który w krwi swej nosi tradycye wspaniałe pochodu na Psków i Smoleńsk, i do bram naddniejrzańskiej stolicy Kijowa.

Tam na błotach Polesia i na ziemi wołyńsko-podolskiej zmartwychwstają ojców czyny wielkie i chwały pewne: Rycerze Mohorta bronią wrót ojczyzny przed najazdem hordy bolszewickiej.

Dr. B.

Z czarnej księgi legend o piekle.

Część I.

W tronowej sali piekła siedział sobie Jego szatańska Mość Lucyper i z lubością przysłuchiwał się jękom ofiar, prażonych ogniem piekielnym. Dzisiaj może los przyniesie mu znowu kilka dusz z ziemi, które połkną płomienie. I rzucił okiem na skałę olbrzymią, na której był wyryty napis: „Zbrodnie i nieprawości świata". Skała ta miała front zwierciadlany, na tafli szklannej błyszczała płomienista podziałka, wskazująca stopień ogólnych grzechów ludzkich.

— A do kroćset! — zamruczał Lucyper — nie będzie dziś wesela... Nieprawość ludzka spada do zera; zamało ludzi kuszą moi słudzy...

Zadzwonił dzwonkiem elektrycznym (trzeba wiedzieć, że i w piekle są wynalazki ery dwudziestego i poprzedniego wieku, w które przed laty zostało ono zaopatrzone). Otworzyły się podwoje i stanął na progu, kłaniając się, woźny piekielny.

— Czego sobie Wasza Wielmożność życzy? — zapytał.

— Zwołać radę piekielną — odrzekł Lucyper.

Za chwilę zgromadziły się zastępy czartów u tronu władcy.

Jeden kulawy, drugi ślepy, trzeci głuchy i t. d. Niewielu było szatanów zdrowych i tem wielce zatrapił się Lucyper.

— Gdzieś oberwał Boruto? — zapytał dyabła z podwiązaną ręcznikiem twarzą.

— Ot panie, zęby mię bolą; kusiłem chłopa polskiego, by mi sprzedał ojcowiznę, bo to mogłoby go sprowadzić na krętą drogę grzechu. A ta psiawiara jak nie trzaśnie mój policzek raz, drugi, trzeci, aż mi połowa zębów wyleciała. Wiesz bowiem, że dłoń chłopska, to nie pieszczona rączka Jejmości, żony Twojej.

— A ty Mafistofelesie, gdzie podziałeś ogon? Muszę cię z liczby sług wyrzucić, bo dyabeł bez ogona, to jakby panna bez zębów, lub dziad bez torby.

— Szedłem ci po duszę Orkiewicza, a on, jak wiadomo, ma córę śliczności. Jak nie zaczęła ona prosić, molestować, słodkie oczy robić do mnie, tak i mnie, zamiast ja ją, skusiła...

— Do czego? — ryknął szatan najstarszy.

— Do ślubu — odrzekł zapytany. — Z pompą a paradą wielką i okrutną doszliśmy do kościoła po ślub. Jak ci tam organista na chórze nie zagra — hej! hej! za pierwszym razem muszę instalować do nas organistę, to będze dopiero uciechy, co nie

miara... Ale wracam do rzeczy. Ksiądz coś długo gadał do nas, potem nuże nam wiązać ręce. Przeraziłem się, sądząc, że wpadłem w pułapkę, ale czekałem końca... To znowu wziął Dobrodziej z tacy dwa pierścionki i chciał je nam założyć na palce. A że były poświęcane, więc nie mogłem wytrzymać i dalej prosić Jegomościa i kłaniać się, że bez perścionków i tak narzeczoną od samego urodzenia aż do ostatniej śmierci (!) kochał będę... Ale gdzie tam, kto księdza kiedy przekona!... Koniecznie chciał postawić na swojem, a ja widząc, że koło mnie krucho, szast, prast, w nogi. A tu licho nadało, że przy drzwiach stał stary kościelny i, nim wybiegłem, z łoskotem przywarł drzwi i tak mi uciął ogon... Lecę przez miasto, za mną kupa psów i zaczynają mnie szarpać, a najwięcej za resztę ogona... Nie wiem, co to jest, ale psy strasznie naszą juchę lubią. Zanim dobiegłem do domu, nie miałem ani kawałka ogona. Żeby go też jako przyszyć, albo i przylepić, byle co wisiało...

Zadumał się Lucyper i po krótkim namyśle w te zaczął słowa:

— Poddańcza rzeszo! Coraz gorzej dzieje się na świecie. Ludzie nie grzeszą, a firma nasza, Lucyper i Ska, w krótkim czasie zbankrutuje. Wkładek (t. j. dusz) niema żadnych, a personal nadarmo traci siły, goniąc za ludzkiem stworzeniem. Krach finansowy nam zagraża. Rada ministeryalna dba więcej o swoje dobro, niż o instytucyę czarnych duchów. Przekupna składa dostatki na starość, by wówczas żyć wygodnie. Otóż podaję do wiadomości: Jeżeli kto/z czartów nie wynajdzie sposobu skutecznego na kuszenie ludzi, na pensyę nikogo nie przeznaczę. Emerytura w tym razie będzie gwiazdą, do której się próżno wzdycha, bo jej się nie dostanie. Kto zaś taki środek wymyśli, temu oddam za żonę moją „Grzech“, a reszta awansuje w następny sposób: Dyabli, których opiece są poruczeni starcy, otrzymają, jako pole do działania, młodość; czartów, polujących na lichwiarzy, posunę na stopień doradców Sejmu. A kulawi, ślepi i inni ułomni będą poniżeni; mogą jedynie kusić starców i dzieci; zresztą, będą z sosem zeskrobywać smołę i mięszać w kotle, będą zwozić drzewo, bo go brak, a do wiosny jeszcze daleko...

Cisza nastała w dostojnem gronie. W kącie Mefistofel i Boruta coś się naradzali... Aż Mefistofel uderzył rogiem w skałę, a z niej wytrysnął zdrój wody. Zaczerpnął do piroga ministeryalnego[1]) wody, zanurzył pokrwawiony ogon w niej i zaczął do obmywać, a woda wkrótce zamieniła się w cuchnący płyn. Boruta zaś wyciągnął z sakwy zęby utracone na ziemi, wsypał je do żarn (w piekle bowiem, jako w zasobnem i wzorowem gospodarstwie są żarna i inne statki domowe). Jeden dyabeł wyskoczył na klekot, dwu ujęło żarnowice i dalej mleć, aż się piekło w posadach zatrzęsło. Mąkę z zębów wsypał do kapelusza z płynem, pomięszał językiem, popluł i nalawszy tem kielich, dał wypić ów napój Lucyperowi.

— Na zdrowie, stary!

— Nasze kawalerskie (!) Boruto — rzekł Lucyper i wychylił duszkiem kieliszek.

Skutek napoju ukazał się za chwilę; nos szatański i tak już tak czerwony, stał się krwawym, w głowie Lucypera zaczęło szumieć, jak w kołowrocie i pijany, nie pomny na swą godność, nuże całować się i ściskać ze sługami. Inni dyabli za śladem władcy wepchali głowy do kapelusza i zaczęli żłopać językami ognisty napój. W krótkim czasie sala tronowa zabrzmiała gwarem i wrzaskiem pijanej czeredy. Dyabli chwytali się za ogony, tłukli się wzajemnie o ściany i takiego narobili hałasu i huku, że aż żona Lucypera z wstydliwą córką wybiegła z komnat niewieścich. A tu małżonek czcigodny porwał ją, jak frygę do tańca, za nim inni ze swojemi połowicami; wszyscy tańczyli aż do białego rana.

Co było grzechu i rozpusty, nie podobna opisać. Koniec końcem, wynaleziono na ludzi sposób. Że zaś pijani zwykle wodzą się za łby, nazwano ten napój **w ó d k ą**!

Koniec części I.

* * *

[1]) Nakrycie głowy ministra.

JÓZEF RELIDZYŃSKI.

—o—

Z cyklu „Pieśni żołnierskie“.

Rota Ślązaków.

Nie damy Śląska, skąd nasz ród,
gdzie dom nasz, próg ziemicy —
śląscy żołnierze, śląski lud,
górale i górnicy;
nie będziesz Czechu miał z nas sług,
tak nam dopomóż Bóg!
Naszą ta ziemia, w polskiej krwi
zbroczona i w łzach wojny,
nasz jest ten węgiel, w którym lśni
pot naszej pracy znojnej;
nie sięgnie po nie nigdy wróg,
tak nam dopomóż Bóg!
Nie będzie deptał podły Czech
starej Piastowej ziemi,
psią mową hańbił naszych strzech,
raczej je śmierć oniemi;
raczej zaorze wszystko pług,
tak nam dopomóż Bóg!
W każdej kopalni znajdzie wróg
redutę on Ordona,
która pogrzebie raczej nas,
niż skarb mu wyda łona
i niżby pot nasz żłopać mógł,
tak nam dopomóż Bóg!
Ojczyzno święta, kraju nasz,
z tobą nam żyć, umierać!
niezłomnie stoi śląska straż,
Polsko, twa wierna czeladź!
zabrzmi i dla nas złoty róg,
tak nam dopomóż Bóg!
Od ojców naszych świętych trumn
i od kolebek dzieci,
ze śląskich piers wszystkich strun
na świat wołanie leci:
gdzie Polska, tam nasz dom i próg,
tak nam dopomóż Bóg!



Smutny koniec czesko-słowackiej żaby.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

12 (Ciąg dalszy).

W pierwszej chwili przychodziło mu na myśl uczynić właśnie to zakazane poruszenie, aby tym sposobem raz już zakończyć swe niespodziane nieszczęście, które go tok opasało i ścisnęło swemi żelaznemi szponami; ale później rozmyślał, że właśnie to nieszczęście jako nieoczekiwane, niespodziane, nie powinno też być długotrwałem; wspomnienie obietnic Villeforta przywróciło mu przytomność, w końcu jeśli mamy i to wyznać, śmierć na łódce z ręki żandarma zdała mu się szkaradną i haniebną. Upadł więc bezsilny na ziemię i jęcząc, ze wściekłości gryzł sobie ręce. W tejże prawie samej chwili gwałtowne uderzenie wstrząsnęło łódką i jeden z wioślarzy wyskoczył na skałę, o którą tył łodzi uderzył właśnie i Dantes pojął już, że się znajdują u celu podróży. Straż trzymająca więźnia to za ręce, to za kołnierz od sukni, zmusiła go do podniesienia się i zstąpienia na ziemię. Prowadzono go po schodach do drzwi cytadeli, dozorca zaś policyjny z bronią i bagnetem szedł z tyłu za więźniem.

Dantes wreszcie nie czynił oporu bezpotrzebnego, powolność jego pochodziła raczej z bezwładności, jak chęci sprzeciwiania się. Jak pijany chwiał się i wodził obłąkanym wzrokiem; nagle ujrzał znowu, jak się uszykowały po stromej jakiejś spadzistości dwa szeregi żołnierzy i uczuł pod nogami schody, na które wstępować trzeba było, widział, iż przechodzi pod jakąś bramą i że ta brama zamknęła się za nim; wszystko to jednak machinalnie tylko obejmował, nie będąc w stanie jak przez mgłę gęstą rozróżniać przedmiotów. Nie oglądał już morza, okropna to boleść dla więźnia widzącego przestrzeń, swobodę, z tem uczuciem dręczącem ,że jej przebyć, dostać się do niej nie podobna. Nagle znalazł się zupełnie ściśniętym, zdawało się, że mur przed nim i mur za nim stanął; zebrał więc ile mógł zmysły, spojrzał wokoło i spostrzegł, że się znajduje na obszernym dziedzińcu kwadratowo opasanym murami; odbijały się po nim tylko powolne echa kroków szyldwachu, gdy przechodził, w odbiciu światła na murach z wnętrza zamku dochodzącego, bagnety rażącem blaskiem migotały.

Poczekali z dziesięć minut, żandarmi pewni już, że im więzień tu już nie ucieknie, puścili go wolno, czekali tylko zdaje się na rozkazy, aż nadejdą.

— Gdzie więzień? — zapytał głos jeden.

— Tu oto — odrzekli razem żandarmi.

— Niech idzie za mną, zaprowadzę go do jego mieszkania.

— No idźże — zawołali razem także, popychając Dantesa.

Więzień poszedł za swym przewodnikiem, weszli do jakiejś podziemnej zdawało się sali, ściany nagie i wilgotne jakby od łez co tam spływały. Świecił się jakiś rodzaj lampy na drewnianym stołku, knot pływał zanurzony w tłustej, szarej masie rzucając blask na lśniące ściany tego straszliwego schronienia, i dał razem poznać Dantesowi jego przewodnika, rodzaj jakiegoś dozorcy drugiego rzędu, w rządowem ubraniu i podłej fizyonomii.

— Oto na tę jednę noc pokój dla ciebie — rzekł — już jest późno, pan komendant położył się; jutro jak się obudzi i przejrzy rozkazy dotyczące ciebie, może ci każe zmienić mieszkanie. Tymczasem, masz tu chleb, woda stoi w tym oto dzbanku, słoma jest także tam w tym kącie, słowem wszystko, czego tylko więzień żądać może. Dobranoc.

I nim Dantes pomyślił usta otworzyć do odpowiedzi, zanim obejrzał się, gdzie jest ów chleb wskazany mu przez dozorcę, zanim mógł dorozumieć się, gdzie się znajduje dzbanek z wodą i rzucił oko na miejsce, gdzie miała być słoma na posłanie odtąd mu przeznaczona, dozorca wziął lampę i zamknąwszy drzwi pozbawił więźnia ostatniego promienia światła, przy blasku którego, jak od błyskawicy mógłby był obejrzeć te lśniące mury swego więzienia.

A tak ujrzał się sam jeden wśród ciemności i milczenia równie głuchego i ponurego jak sklepienia gmachu, których lodowate zimno zdawało się chłodzić jego rozpalone czoło. Z pierwszemi promieniami dnia, co wpadł do tej ciemnicy, wszedł dozorca i objawił rozkaz komendanta, iż więzień ma pozostać w swojem dotychczasowem mieszkaniu. Dantes jeszcze od wczoraj nie zmienił miejsca; żelazna jakaś ręka przykuła go do tego punktu, w którym w wigilią spoczął; oko tylko z głębi wyglądające, powlekło się zamgleniem od wilgoci łez wylanych, siedział bez ruchu i patrzył w ziemię. Tak przetrwał noc całą ani na chwilę oka nie zmrużywszy. Dozorca zbliżył się do niego, obszedł go, ale zdawało się, że Dantes go nie spostrzegał. Uderzył go po ramieniu. Dantes wstrząsł się i spuścił głowę.

— Cóż to nie spałeś wcale? — zapytał dozorca.

— Nie wiem — odpowiedział Dantes.

Dozorca spojrzał nań z podziwieniem.

— Jeść ci się nie chce? — zapytał następnie.

— Nie wiem — odpowiedział jeszcze raz Dantes.

— Może chcesz czego?

— Chciałbym widzieć się z komendantem.

Dozorca ruszył ramionami i wyszedł. Dantes powlókł za nim wzrokiem, wyciągnął ręce ku drzwiom pół otwartym, ale drzwi się zamknęły. Wówczas zdawało się, że pierś pęknie od głębokiego łkania. Łzy z oczu potoczyły sę dwoma strumieniami, opuścił czoło ku ziemi i modląc się długo, przechodził myślą całe swoje życie i pytał sam siebie, jaki też mógł w tak młodym wieku popełnić występek, któryby na tę ciężką zasługiwał karę! I tak dzień znowu przeszedł; zaledwie parę razy dotknął ustami chleba i odwilżył je wodą. To siadał i zagłębiał sę w myślach, to poglądał w około swego więzienia jak zwierz drapieżny zamknięty w żelaznej klatce.

— W tem strapieniu, jedna go jeszcze myśl dręczyła; czemu w czasie, gdy go prowadzono a nie wiedział jeszcze gdzie, za co i po co go prowadzą, tak był spokojnym i obojętnym, mogąc dziesięć razy wskoczyć w morze. Skoroby już był w wodzie, przy swej umiejętności pływania, przy swej zręczności, która mu dawała sławę najzręczniejszego pływacza w Marsylii, zniknąłby pod wodą, uszedł rąk straży, dostał się do brzegu, uciekł i skrył się gdzie w kącie odludnym, byle doczekać jakiego statku genewskiego lub katalońskiego. Potem mógł się udał do Włoch lub Hiszpanii i stamtąd napisać do Mercedes, aby do niego przyjechała. Co się utrzymania tyczy, wszędzie gdziekolwiekby się udał, znalazłby miejsce, bo dobrych marynarzy zawsze potrzebują jako rzadkich; mówił po włosku jak Toskańczyk, po hiszpańsku jak dziecko Kastylii starej. Byłby sobie swobodnie i szczęśliwie żył z Mercedes, ojcem. bo ojciec musiałby do niego przyjechać, gdy teraz oto jest więźniem, zamniętym w zamku If, w tym nieprzeniknionym gmachu, dokąd nie dojdzie go wiadomość, co się dzieje z Mercedes, z ojcem i nic zgoła, bo zawierzył słowom pana Villefort. To go do szaleństwa przyprowadzało. Rzucił się na słomę świeżo przyniesioną i tarzał ze wściekłości. Nazajutrz o tej samej godzinie przyszedł dozorca.

— No i jakże — zapytał — czyś już dziś rozumniejszy jak wczoraj?

Dantes nie odpowiedział ani słowa.

— No, no, nabierz trochę odwagi, cóż u Boga! może żądasz czego, coby odemnie zależało, powiedz!

— Chcę mówić z komendantem.

— Eh, cóż znowu, jużem ci mówił — rzekł zniecierpliwiony dozorca, — że to nie podobna...

— Dlaczego niepodobna?

— Ponieważ stosownie do ustaw więziennych nie wolno jest więźniowi żądać tego.

— I cóż tu wolno? — zapytał Dantes.

— Zapłaciwszy, wolno żądać lepszego pożywienia, przechadzki i książek czasem.

— Książek nie potrzebuję, przechadzać się nie mam wcale chęci; a pożywienie moje bardzo dobre, chcę więc tylko jednej rzeczy, widzenia się z komendantem.

— Jak będziesz mnie nudził ciągle jednemi żądaniami, — rzekł dozorca, — to ci już jutro jeść nie przyniosę.

— Mniejsza o to, — rzekł Dantes, — jak mi nie przyniesiesz jeść, to umrę z głodu i nic więcej.

Ton, jakim wyrzekł te słowa Dantes, dowiódł dozorcy, że więzień jego rad byłby umrzeć. A ponieważ z każdego więźnia, podług praktykowanego obliczenia, przynajmniej dziesięć sous na dzień dozorcy przypada, więc po śmierci Dantesa niedobór okazałby się wyraźny; rezkł więc tonem ułagodzonym.

— Słuchajno; to czego żądasz, jest całkiem niepodobieństwem; nie wymagaj tedy ode mnie, abym to zrobił, bo nie ma przykładu, aby na żądanie więźnia komendant przychodził go odwiedzać; bądź jednak roztropniejszym i cierpliwym, dozwolę ci jeszcze na przechadzkę wyjść, być może, że kiedyś, gdy się będziesz przechadzał, spotkasz komendanta; spróbujesz go zaczepić, jeśli ci odpowie, to jego łaska.

— Jakże długo miałbym czekać, — rzekł Dantes, — nimby ten wypadek nastąpił?

— Ha! djabli wiedzą, — rzecze dozorca, — może miesiąc, trzy miesiące, pół roku, rok nawet.

— To za długo, ja chcę się z nim widzieć natychmiast.

— A mój drogi, nie daj się owładnąć tak jednej myśli i jednemu żądaniu, bo za piętnaście dni możesz oszaleć.

— Tak sądzisz? — rzekł Dantes.

— Naturalnie, zwykły początek waryacyi w głupstwie. Mamy już przykład tego. Jest tu ksiądz, co ciągle obiecywał komendantowi milion, żeby tylko go puścił na wolność, tak, że w końcu mózg przewrócił mu się zupełnie; mieszkał tu właśnie w tym pokoju przed tobą.

— A dawno jak stąd wyszedł?

— Dwa lata.

— Uwolniono go?

— O nie, wpakowano go do ciemnicy.

— Słuchaj, — rzekł Dantes, — ja nie jestem ani księdzem, ani szalonym, być może dopiero, że oszaleję, ale na moje nieszczęście dotąd mam zupełnie zdrowe zmysły; zrobię ci jedną propozycyę.

— Jakąż naprzykład?

— Ja ci nie dam miliona, bobym nie był w stanie dać ci go, ale dostaniesz sto talarów, jeżeli tylko pójdziesz do Marsylii, udasz się do osady Katalończyków i oddasz bilecik pewnej młodej panience, nazwiskiem Mercedes; to nawet nie bilecik, dwa wiersze tylko.

— Gdybym odniósł te dwa wiersze, a dowiedziano się o tem, straciłbym miejsce z pensyą tysiąca lirów na rok, nie licząc gratyfikacyi rozmaitych i życia. Jak tedy myślisz, nie gyłżebym wielkim głupcem, gdybym tysiąc przeciwko trzystu stawiał?

— Masz słuszność, zostańże na swojem miejscu; ale kiedy nie chcesz oświadczyć komendantowi, iż ja proszę o audyencyę, nie chcesz odnieść tych dwóch wierszy do Mercedes, a przynajmniej uwiadomić ją, że się tu znajduję, to kiedykolwiek, jak będę się ciebie spodziewał, schowam się za te drzwi i w chwili, gdy wejdziesz, roztrzaskam ci głowę tym oto stołkiem.

— Groźby! — zawołał dozorca, — cofając się w tył i obierając stanowisko obronne. Wyraźnie pomięszało ci się w głowie i ksiądz ten także tak jak ty zaczynał, za trzy dni zwaryujesz niezawodnie i będą cię musieli związać. Szczęściem, że my tu w zamku mamy lochy.

Dantes porwał za stołek i zaczął kręcić go koło głowy.

— Dobrze, dobrze, — rzecze dozorca. — Wola twoja, kiedy chcesz, powiem komendantowi.

— Brawo, — rzekł Dantes, postawił stołek na ziemi i usiadł, głowa opadła, oczy jak błędne zawrócił, jakby w rzeczy samej dostał pomięszania zmysłów.

Dozorca wyszedł i po chwili wrócił z czterema żołnierzami i kapralem.

— Z rozkazu komendanta, — rzekł — zejdziesz więźniu o jedno piętro niżej.

— To jest do lochu, — wtrącił kapral.

— Do lochu: waryaci powinni z waryatami siedzieć.

Żołnierze wzięli się natychmiast do Dantesa, który wpadł w jakiś rodzaj odrętwienia i bez oporu poszedł za nimi. Zeszli z piętnaście schodów i drzwi ciemnicy otwarły się, gdzie mrucząc wszedł więzień.

— Ma racyą, waryaci z waryatami siedzieć powinni.

Drzwi się zamknęły i Dantes z wyciągniętemi rękami szedł prosto, póki na mur nie trafił. Usiadł w kącie i tak bez ruchu pozostał, oko zaś jego nawykając zwolna do ciemności, odzyskiwało władzę rozpoznawania przedmiotów. Miał słuszność dozorca, niewiele brakowało już aby Dantes dostał pomięszania zmysłów.

Wieczór zaręczyn.

Villefort, jakeśmy już powiedzieli, powrócił do państwa Saint-Meran, gdzie zastał jeszcze biesiadujących, których przy stole zostawił, w innym salonie przy kawie. Renee oczekiwała go z niecierpliwością wspólną wszystkim z resztą do towarzystwa należącym. Powszechnym też okrzykiem radości przyjęto go za wejściem.

— No panie, ty, pod którego słów piorunami spadają głowy, podporo kraju, Brutusie rojalistowski, — zawołał któryś z towarzystwa, — cóż tam się stało? racz nam powiedzieć.

— Czy nie jesteśmy czasem zagrożeni na nowo jakim teroryzmem? — zapytał drugi.

— Czy potwór korsykański nie wyszedł jeszcze z swojej jaskini? — zapytał trzeci.

— Pani markizo! racz wybaczyć, — rzecze Villefort, zbliżając się do swej przyszłej świekry, — jeśli w ten sposób zmuszony byłem opuścić towarzystwo...

— Panie markizie, czy nie wyświadczyłbyś mi zaszczytu i nie chciał parę słów pomówić ze mną na osobności?...

— Ah, widzę, że to rzeczywiście coś ważnego, — ozwała się markiza, spostrzegłszy zachmurzone nieco czoło Villeforta.

— Tak dalece rzecz ważna, iż będę musiał prosić was łaskawi państwo o zezwolenie zajęcia się nią dni parę. Tak jest, musi być ważną, — zwracając się do Renee dodał, — kiedy o zwłokę upraszam.

(C. d. n.).

HUMOR i SATYRA.

Nowy podział zoologii.

Ministerstwo oświaty rozpisało konkurs na podręczniki szkolne, w których ma się uwzględnić najnowsze odrycia naukowe. Napisałem podręcznik do zoologi, którym, jak się spodziewam, zakasuję nietylko Nusbauma, ale nawet Hilarowicza. Zarzucając bowiem stare systemy podziału od ssaków do pierwotniaków, lub też od pierwotniaków do ssaków (jak chcą inni), przedstawiłem najnowszą systematykę:

Główny typ strunowce (Chordata) podzieliłem na dwa podtypy: Pełnobrzuchych i Próżnobrzuchych. Do pierwszych należą: 1) **paskarze nałogowi** (Brygdniceae), bo tylko ci dziś mogą się nasycić — i drugi gatunek szlachetniejszy: 2) **Radcy wszelkiego rodzaju** (Kołtunaces). Do tej drugiej gromady należą osobniki bardzo wytrzymałe na alkohol. Narząd węchu u nich odznacza się piękną czerwono-fioletową barwą. Chętnie przebywa w miejscach, gdzie się nic nie robi, tylko dużo pije. Na gatunku tym można zauważyć charakterystyczny w świecie zwierzęcym objaw wędrówek na południe. Oto niektóre osobniki, kiedy się zaczyna robić gorąco, zmykają do Szwajcaryi.

Do Próżnobrzuchych zaliczamy następujące gromady:

1) **Urzędników** (Piórogryzeae). Osobniki należące do tej gromady odznaczają się wytartymi łokciami. Należą tu dwa rzędy: Urzędnicy biorący (Cubanoidae) i urzędnicy nie biorący (tumanoidae). Gatunki pierwszego rzędu mają lepkie ręce i z tego żyją. Drugi rząd tzn. tumanoidae już na wymarciu.

2. **Nauczyciele** (Głodo - hemoroidaces). Osobniki tu należące, odznaczają się przeraźliwą chudością. Najlepsze preparaty kościotrupów otrzymuje się z nich przez samo zdarcie cienkiej zresztą skóry. Dzielą się na 2 rzędy: bosych i obutych. Tych drugich jest nierównie mniej: Istnieje jeszcze pośredni gatunek tych, którym palce i pięty zaczynają już wyłazić z butów, ale jeszcze całkiem niewylazły. Uczeni wyrażają przypuszczenia, że przez dobór naturalny przejdzie na bosych. Przejściowa ta forma ilustruje dosadnie teoryę ewolucyi.

Ile ma lat?

— Mam dla ciebie żonę Jasiu.
— A ile ona ma posagu?
— Okrągłe sto tysięcy.
— A lat ?
— Dokładnie nie wiem, ale w każdym razie mniej, niż posagu.

*

Prawdziwy skarb.

— Pańska żona jest tak piękna — mówił sąsiad do sąsiada — że ile razy na nią patrzę, przychodzą mi na myśl słowa modlitwy pańskiej:

„I nie wódź nas na pokuszenie“....

— Szkoda, że jej pan dobze nie zna, bo gdyby ją pan znał, powtarzałbyś na cały głos:

„Ale nas zbaw ode złego — Amen!“

*

Niesmaczne.

— Panie aptekarzu, proszę mi dać inną truciznę na szczury. Ta, którą kupiłam, tydzień temu, widocznie im nie smakuje, bo jej jeść nie chcą.

— Nie mogę, proszę pani, bo ile razy zrobiłem truciznę smaczniejszą, zawsze mi ją chłopcy apteczni pozjadali.

*

Zląkł się...

Nauczyciel: Gajducki, kto stworzył świat?

Uczeń, który w tejże chwili rozlał atament, przestraszył się i milczy.

Nauczyciel (powtarza). No, mówże, kto??

Uczeń: Ja panie profesorze, ale już więcej tego nie zrobię...

*

W Redakcyi.

— Panie redaktorze, nadesłano rachunek od stolarza.

— Proszę mu odpisać w odpowiedziach od redakcyi: „nieudolne, banalne, styl marny, rękopis spoczął w koszu!“

*

Wymówka.

— Ładny z ciebie narzeczony; wczoraj przeszedłeś obok mnie, nie widząc mnie nawet.

— Czy to nie najlepszy dowód, jak cię kocham?

— Jakto?

— Miłość mnie czyni ślepym.

*

Delikatnie.

— Oto zachód słońca, namalowany przez moją córkę... Kształciła się za granicą...

— No, teraz to rozumiem... U nas nigdy takiego zachodu słońca nie widziałem...

*

To dziwne...

Mama: Popatrz Karolku, jak tam tatuś z panem Stanisławem uczą twoją siostrzyczkę jeździć na koniu. Duże już zrobiła postępy...

Karolek: O tak. Ale to dziwne mamo, że zawsze pada na stronę pana Stanisława, a nigdy na stronę tatusia...

*

Zapatrywanie dziecka.

— Ile lat ma twój dziadek, Helenko?

— Nie wiem, ale mamy go już bardzo długo.

*

W szkole.

Nauczyciel: Przysłowie mówi: „Nie wszystko złoto, co się świeci“, Nosek, daj mi jaki przykład na to!

Nosek: Za przeproszeniem, nos pana profesora!

*

Niebezpieczne zamiary.

On (w zachwycie): Dniem i nocą o pani marzę! Gdybym mógł te niebieskie oczy choćby na chwilę wybić sobie z głowy!

*

W menażeryi.

Matka: — Podajże Adasiu słoniowi bułkę, nie bój się!

Adaś: — A gdzie słoń ma buzię, mamusiu, bo i z tyłu i z przodu ma ogon?...

*

Przewidujący:

Zasądzony włamywacz po wydaniu wyroku: E, do licha, nie chodzi o te parę lat siedzenia, tylko o to, żeby człowiek nie wyszedł z prawy!...

*

Autentyczne.

Do pewnego lekarza przychodzi jeden z jego pacyentów i podając mu kartkę papieru, zapytuje:

— Niech Pan będzie łaskaw to przeczytać.

— Nie — odpowiada doktór. — Nie potrafię. Cóż to jest?

— Ordynacya, którą mi pan wczoraj napisał.

— E, mój panie — mówi doktór — odczytywanie recept nie jest moją, od tego jest aptekarz.

*

Oryginalne świadectwo.

Jakiś, bardzo widocznie niezadowolony gospodarz, wystawił swej służącej następujące świadectwo:

„Pilna — w bramie domu; skromna — przy pracy; staranna — sama dla siebie; rozgarnięta — w wymówkach; uprzejma — dla wojskowych; wierna — swemu wybranemu; uczciwa — gdy wszystko jest zamknięte; znośna i dyskretna — gdyż wszystko sobie znosi i nie powiada, gdzie to chowa; milcząca — gdyż o żadnym kawałku porcelany, lub szkła, które zbije nie powie nigdy ani słowa“.

Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść".
Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.